NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 20 marca 1915. Nr. 12.

„Oleandry" w płomieniach.



Spalony pawilon frontowy wystawy architektonicznej w Krakowie, gdzie do niedawna mieściły się koszary Legionów.

Treść numeru: Legioniści w polu. — Stracenie szpiegów. — Szpital polowy. — Nowa placówka artystyczna w Krakowie. Walka o Konstantynopol. — Z teatru wojny i t. d.

Do Czytelników.

Pamiętajmy o Legionistach naszych.

Dreszcz życia przebiega ziemię naszą, wróżąc jej cud zmartwychwstania.

Jeszcze dni kilka a zaszumią rzeki wyzwolone z lodowych obroży, ockną się gór szczyty z pod tających śniegów zasłony, a nad straszną pustką siół i pól naszych, nad szkieletami chat zwęglonych, nad lasem krzyżów naszej Golgoty, zabrzmi wiosenny hejnał skowronkowy. Mimo huku dział i chrzęstu szablic skrwawionych, nieść on będzie wieść radosną, iż blizka już wielka godzina cudu, w której Bóg sam powstanie z grobu, by moc życia tchnąć w wyzwoloną duszę ludów.

I hymnu tego nadziei, wiosennej wskrzeszenia pieśni, słuchać będą tam na polu walki ci nasi ukochani, co na stokach Karpat z wrogiem walczą o każdą piędź ziemi ojczystej, nie bacząc na głód, ból i znój krwawy.

Ku nim niech z tą pieśnią wskrzeszenia uleci myśl nasza; niech w dniu wielkiego Święta dojdzie ich staropolskie nasze „Szczęść Boże!“ a wraz z tem życzeniem prześlijmy tym bohaterom naszym choć drobne upominki, jako dowód pamięci o nich.

Skromne dary jak papierosy, cygara, tytoń, fajeczki i pieniądze na zakupno bielizny przyjmuje Wiedeńska Delegacya Samarytanina polskiego Wideń I. Wallnerstrasse 1. parter.

J. A. Koperski delegat N. K. N. i Samarytanina polskiego, Anna z Szawłoskich Neumannowa, St. Wołkowicka przewodnicząca Komitetu Pań sekcyi humanitarnej Delegacyi, E. Dębicka przewodnicząca Komitetu Pań sekcyi zbiórkowej Delegacyi, Władysław Grabowicz sekretarz Delegacyi.



Z teatru wojny: Na pozycyi w Królestwie Polskiem.

Legioniści w polu.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych).

Kirlibaba-Seletyn, w styczniu.

Minęły trzy tygodnie, podczas których nie pisałem nic do was, dopiero teraz znalazłem parę wolnych godzin. Minęły złe dni, podczas których siedzieliśmy na jednem miejscu, przykuci rozkazem.

Zdawało się, iż niedługo okopy porosną trawą, a my z nich nie wyjdziemy, ani ich oddamy. Jednostajność, brak nowych wrażeń, poczynały nas nudzić. Tak, bo żołnierza nudzi tkwienie parotygodniowe na tych samych pozycyach, radby pójść naprzód za wszelką cenę, byleby zmienić szałas lub okop, może na gorszy, bardziej mokry, jednak inny.

Aż wreszcie rozkaz. Legiony broniące podówczas Okörmezö zawrócą do najbliższej stacyi kolejowej, pójdą na inne miejsce walki, oddając dawne pozycye innym wojskom. Kilkadziesiąt kilometrów na prawo, ot mapa przecież wskazuje, niewielkie oddalenie, a jednak z mokradeł i mgieł zaszliśmy w zaspy śnieżne i mrozy 24 stopniowe.



„Oleandry“ w płomieniach: Wnętrze spalonego pawilonu wystawy architektonicznej w Krakowie.

A trzeba wam wiedzieć, iż szedł po szeregach rozgłos, jakoby pułki nasze miały uzyskać odpoczynek, a tymczasem... tymczasem poszliśmy naprzód, serpentynową cudną drogą, przez słynny obecnie rowo, jak Los, który musi przyjść i przejść, przeszli nasi na Mołdawę.

Znowu pochwały komend.

Pochwały!? Czyż my dla pochwał?

Próżnowali cały dzień, bo nie mieli nic do roboty, a tacy dumni.

Te dwa walczące „gdzieś tam w Karpatach“ pułki, co tydzień, co dwa dorzucają do wieńca swo-



Legioniści w polu: Grupa Legionistów i lekarzy na terenie walk w Karpatach: 1) dr. Rudzki, komendant szpitala w Domboi, 2) dr. J. Witoszyńska, komendant szpitala w Taraczköz, 3) por. Pomirski, komendant etapu w Domboi, 4) por. M. Rutkowski.



Szpital polowy: Grupa żołnierzy Polaków, przebywających na dalszej kuracyi w Mureck w Styryi. (Do artykułu na stronie 6.)

Pryslop i Magórę. Jak się spisał Wojnar ze swoją bateryą, jak nasi chłopcy szli na bagnety na Lajosfalvę, doniosły wam telegramy i dzienniki.

„Znużone, zmęczone, biedaki, walczące tam, gdzieś na Węgrzech“.

Znżone?...

Żołnierz znużony tylko wtedy, kiedy go mus przykuje do jednego miejsca, kiedy dla swojego karabinu nie może mieć wystrzału.

Po Lajosfalve znowu pasmo gór i śniegi po pas. Schyliły się bagnety naszych żołnierzy i mia-

Patrzałem raz na batalion, któremu za dzielne zachowanie się wobec wroga odczytywano pochwałę. Milczenie legło na wszystkich twarzach, aż nagle kędyś w ostatnim szeregu, mimo postawy na baczność, buchnął głośny śmiech, przechodząc z szeregu w szereg. Spytany o powód, wystąpił żołnierz w czapce, od której dawno odpadł daszek i rzekł:

— Cieszymy się p. komendancie, ale się musimy śmiać!

— Dlaczego?

— Z łapiduchów, (sanitaryuszy) bo stają na baczność, okropnie dumni, a przecież to my, a nie oni.

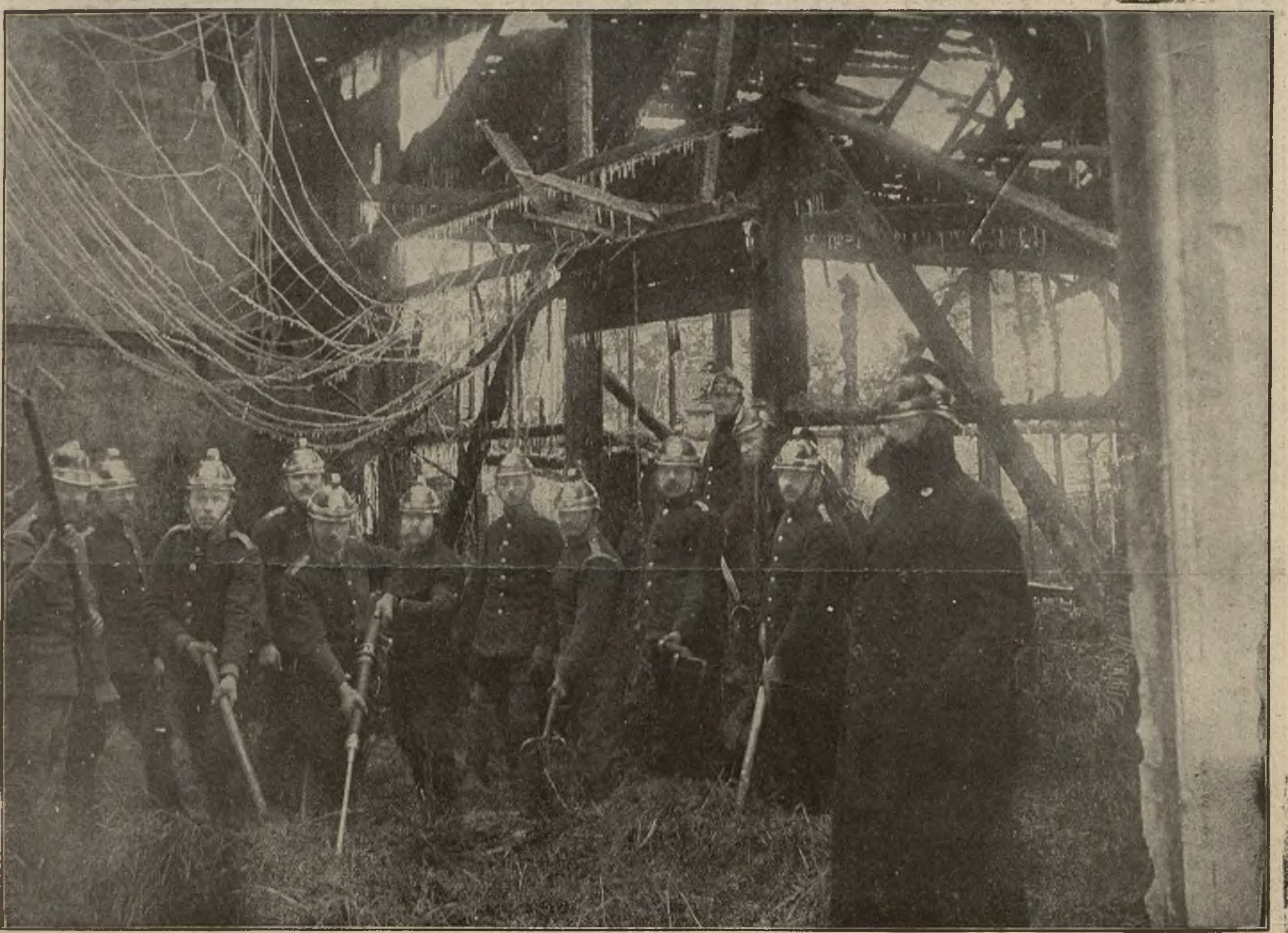
ich zwycięstw i swojej chwały odznaczenia i medale.

Ale za Mołdawą droga wije się i wspina wysoko, serpentynowo, pochyło i tamtędy też poszliśmy stając wreszcie na rozstaju, mając kilka dróg, wiodących do naszej ziemi. Za dzień usłyszymy, pukając do domu o kwaterę, zapytanie w naszej mowie.

— Kto tam?

Dogada się żołnierz z każdym, będzie się czuł pewnie i buńczucznie.

Na rozstaju jesteśmy, gdzie, jak w przedwiośniu, kiedy niekiedy zaleci do nas polska mowa, pół wieś, pół miasteczko. Ocalało wszystko z wyjątkiem pa-



„Oleandry“ w płomieniach: Strażacy przy gaszeniu płonącego jeszcze siana w głównym budynku wystawy architektonicznej w Krakowie.



Z teatru wojny: Publiczna egzekucya szpiegów w Wodzisławiu na rynku.

łacu bar. W... Jedenaście tygodni gospodarowało kozactwo, nie tykając sprzętów, aż wreszcie na parę godzin przed odwrotem polali posadzki naftą i benzyną, porozrzucali naboje, i podpalili. Stanęła w płomieniach pańska siedziba, budynek nowy o wszelkich udogodnieniach, zrabowano wprzód to, co dało się uwieźć na wozach, wyprowadzono konie wierzchowe i powozowe.

Przytulona na uboczu stoi oranżerya, jakoś dziwnie smętnie wyglądają liście palm, dzisiaj zmarzłych i pożółkłych.

Błądzimy po ruinie, pełnej swędu spalenizny, okopcone mury, pogięte blachy dachu, pod murem kasa rozbita.

Mokną w błocie papiery jakieś... „R. 1791. Stwierdzamy wiarygodnym podpisem, iż wieś...“ Akt zakupu.

Nasz towarzysz, włościciel zamku w Lisku, obecnie porucznik, patrzy po spalonych murach i, uderzając trzciną o gruzy, powiada:

— U mnie tak samo zapewne.

I odwraca się, idąc przodem.

Znalazł się jakiś zabłąkany służący, obejmując rolę cicerona.

— Tu był pokój pana, a tam łaźnia i t. d. Był.

Zachodzimy do budynków stajennych, które ocalały i w jednej z izb znajdujemy wszystko i nic, wszystko, co zdołano uratować z płonącego budynku: jakaś nadłamana sofa, jakiś sztych bez oprawy, a w kącie splątane rogi jelenie.

Błyszczą oczy porucznika-znawcy, myśliwca urodzonego, liczy rozgałęzienia rogów.

— Jelenie — mówi — 28, bardzo, bardzo rzadkie — i zwracając się do stojącego przewodnika, prosi, aby tylko te jedne rogi schowano, gdyż wszystko, co uratowano, niczem jest wobec wartości tej jednej korony jeleniej.

Wychodzimy na podwórze.

Śnieg jeszcze niedawno tak wielki, obecnie taje, jesteśmy bez futerek i płaszczy. Słońce przypieka. Przedwiośnie.

Mały chłopak, w czerwonych portczętach, niesie pęk kotków leszczyny. Czyżby wiosna wyszła na nasze spotkanie?

Za nami leci swąd spalenizny i głuchy, daleki odgłos strzałów armatnich.

Na drodze gromadkami odświętnie przybrane baby i „resztki“ chłopów. Ach prawda, dziś niedziela.

Na gościńcu ruch, ostatnie kompanie idą, ciągną tabory. Jutro ruszamy.

A. Grzybowski.



„Oleandry“ w płomieniach: Lewe skrzydło głównego pawilonu wystawy architektonicznej w Krakowie po pożarze. Na ziemi, pod zgliszczami, leżą pokotem spalone krowy.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

8

— To świetnie, zjemy razem kolacyę.

— Daruj, ale nie mogę.

— Dlaczegóż? Nie! Ty dzisiaj jesteś jakiś dziwny!

— Nie, nie mogę! — wybuchnął Adam.

— Co... co? — zaniepokoił się Jaś.

— Dobranoc! — rzucił zdziwionemu i szybko się oddalił.

Gotwicki stał chwilę w miejscu, wpatrzony w odchodzącego i mruknął do siebie.

— Czyżby i on?...

Czuł, że zaczyna mu się mącić w głowie.

Adam tymczasem szybkim krokiem zmierzał wprost do swego mieszkania. Chciał być sam, koniecznie sam. Każdy głos ludzki sprawiał mu niewypowiedzianą przykrość, każdy przechodzień wydawał mu się wrogiem. Szedł, jak ociemniały, potrącany, potrącając wzajemnie przechodzących.

Przestał dla niego w tej chwili istnieć świat cały. Jakiś niepokój zakradł mu się pod czaszkę i wciskał się w mózg, coraz głębiej i głębiej. Uczuł dziwnie przejmujący ból głowy. Nie myślał, a raczej wśród nawału tłoczących się myśli nie mógł uchwycić żadnego wątku.

Szybko wbiegł po schodach na trzecie piętro, wszedł do swego pokoju i zamknąwszy drzwi na klucz, rzucił się na krzesło.

Teraz dopiero w otaczającej go ciszy zaczął się zastanawiać nad otrzymaną wiadomością.

Więc ona była przyczyną jego śmierci? Ona go zawiodła tą śliską drogą nad tę przepaść, która pochłonęła jego młode życie.

On znał tę drogę.

I zaczął sobie przypominać po kolei jej niedomówione zdania, uśmiechy... Te jej uściski, pocałunki. On całował jej cudne usta, a tamten... Nie skalała się... więc widocznie miłość dała mu ją w ramiona, miłość prawdziwa, gorąca.

Tak, tak być musi — jego nie kochała, więc skądże mu miała oddawać swe usta — czyż każdy chwilowy adorator, przybłęda, ma mieć do tego szczęścia prawo, pretensye nawet?

Jak miała zresztą pozbyć się natręta, grubianina?

Jak można było wogóle do tego stopnia się zapomnieć, to przecież prostactwo. Odezwała się w niej gorąca krew i... dała mu nauczkę... a że on popełnił szaleństwo, któż może za to odpowiadać?

W każdym razie nie ona.

Biedactwo, jakżeż musiało być jej przykro... może płakała...

Pewnie do tego nie miał zamiaru naprawdę się strzelać — chciał ją pewnie przestraszyć, wzruszyć, wywrzeć moralną presyę... a fanfaronada skończyła się smutno. Sam sobie winien!

Lecz przecież! — odezwał się głos zwątpienia. Co, przecież?

Przecież jednak musiała go upoważnić do wyznania, dawać mu nadzieje. Może takie same otrzymywał spojrzenia... te smutne, tęskne spojrzenia... te same, co ty...

A te uściski, pocałunki?...

Ot znudziły ją już tylko czułe szepty, nerwy zapragnęły żywszej podniety, zmysły większych wrażeń... może zauważyła, żeś oporniejszy, że trzeba silniejszych środków. Rezultat, że się kochasz w niej jak tamten, a ją to bawi...

Ale koniec?...

Adamowi zrobiło się ciemno. Wstał z krzesła i zamknął okno. Noc już była. Nie myślał nawet o śnie, wiedział, że taka próba byłaby tylko próżną męką.

Usiadł z powrotem i poddał się prześladującym go myślom. Nocna cisza zaczęła go denerwować.

Uciec stąd, uciec... daleko, daleko...

Wziął kapelusz, płaszcz i wyszedł na ulicę. Wlókł się bez celu z ulicy w ulicę, rzadko tylko spotykając jakiego spóźnionego mieszkańca. Całe miasto tonęło w półmroku i ciszy. Nagle, skręciwszy w inną ulicę, posłyszał wesoły gwar rozmowy jakiegoś większego towarzystwa. Słychać było nieustanny brzęk szkła i naczyń stołowych. Co chwilę rozlegały się swobodne śmiechy.

Bawiono się gdzieś.

Już miał minąć ten dom szczęśliwy, gdy mimowoli spojrzał na tabliczkę domu. Stanął zdumiony. Bezmyślnie błądząc przyszedł pod dom Zbylitowskich. Całe pierwsze piętro było jasno oświetlone, jedno z okien było otwarte i przez nie właśnie dobywał się gwar na ulicę.

Przyjechali już! — przemknęła mu myśl. — Trzebaby się iść przywitać.

Wyczekiwany gość! Ha! ha! — zadrwił stary kpiarz, rozsądek.

Szkoda — myślał Adam, niezbity z tropu — że Zygmuś zdał już egzamin, byłaby sposobność.

A tak! Trzeba stać pod oknami — drwił ten sam głos.

Nie szkodzi! — szeptał do siebie Adam, opanowany wzruszeniem, zdawało mu się bowiem, że posłyszał jej srebny śmiech.

Tak! to jej głos... Liluśki!... Liluśka...

Czy ty odczuwasz, że ja tu stoję jak nędzarz pod twemi oknami.

Tak... może ci rzuci jałmużnę.

Dla ciebie wszystko wycierpię... kochana... droga. A ona bawiła się snać doskonale, bo raz za razem słychać było jej dźwięczny śmiech.

W pewnej chwili uczynił się duży rumor, widocznie wstawano od stołu. Otwarto drugie okno, w przyległej do jadalni ubikacyi i gwar jeszcze żywszy zaległ uśpioną ulicę.

Adam drżał cały. Odżyły w nim wspomnienia wszystkich przeżytych w towarzystwie Lili, cudnych chwil. Ukrył się w ciemnym załomie murów kamienicznych naprzeciw okien i stał w nie wpatrzony, szczęśliwy, że jest w pobliżu tej, co jest radością jego życia, szczęściem... że posłyszy ten głos, który dla niego jest rajską melodyą, rozkoszą. Tylko... po co ona się tak śmieje wesoło?... tak swobodnie, jakby jej nic nie leżało na sercu, nic nie dolegało?

Dlaczego śmieje się tak często, skoro jego tam nie ma i być nie może; gorzej jeszcze, nie będzie mógł tam być nigdy, nigdy... chyba jako... guwerner.

To straszne.

A ona... ona.

Zadnej nie mógł znaleźć na to odpowiedzi. Ona nie powiedziała mu nic właściwie... ona nie może przecież... rodzina! — starał się ją usprawiedliwiać.

Chyba ją porwać... i napisać balladę—zadrwiło coś.

A on stał w cieniu znękany i smutny, bezsilny. Łzy mu się tłoczyły do oczu i spływały swobodnie po jego bladej twarzy. Do ust mu się wkradały i goryczą swą poiły.

W pewnej chwili uczyniło się zupełnie cicho, tylko gdzieś z oddalonej wieży zegar nocną wydzwaniał godzinę.

Drgnęły powietrzne fale i przyniosły w jego stęsknione uszy ciche dźwięki fortepianu, a w ślad za nimi pieszczotliwą piosenkę, jej cudnym nuconą głosem. Płynęły ciche, tęskne słowa, przez otwarte okna w przestwór nocy:

Prószy śnieżek i prószy płatkami,
Smutno młodym jest w duszy, gdy sami...

Adam stał zatopiony w tę nocną muzykę, wzrok w oświetlone utkwiwszy okna. Jego szeroko rozwarte źrenice śledziły spadające cicho setki błyszczących światłem płatków, a w uszach mu drżały tęskne słowa co dopiero przebrzmiałej melodyi:

Smutno młodym jest w duszy, gdy sami...

II.

Szybkim krokiem zbliżała się zima. Dnie stały się krótkie i smutne. Drzewa ogołocone z zieleni, aleje ogrodowe zasypane stosami pożółkłych liści. W takie dnie Adam chętnie zamykał się w domu i żył swojemi myślami. Nieraz wydobywszy z ukrycia, z wielkim trudem nabytą od fotografa, podobiznę Lili, stawiał ją na stoliku i wpatrywał się w nią godzinami.

Kochał ją coraz silniej, coraz namiętniej, bez pamięci.

Im bardziej w przeszłość mglistą usuwały się te niezapomniane chwile pobytu w Zbylitowie, tem większa trawiła go gorączka, pragnienie ich powtórzenia. Chwilami chciał biedz do niej, wpaść do jej pokoju przemocą, to znowu myślał do niej napisać list, przesłać jej kwiaty.

Często teraz przechodził wieczorami koło jej okien, ale nigdy jej nie mógł zobaczyć. O pracy przestał myśleć zupełnie, nie mógł pracować, to było nad jego siły. Wypijał za to całe masy czarnej kawy, palił ogromną ilość papierosów i pisał, pisał bez końca.

Pisał dramaty, powieści, poezye...

Pisał o niej i do niej, wszędzie, na każdej prawie kartce papieru było wypisane jej imię.

Ileż razy czynił wyznania miłosne, siedząc naprzeciw jej podobizny! Ile razy jego usta spalone pragnieniem szeptały: kocham, kocham... nad szczęście me, nad życie...

Daremnie próbowali go koledzy zabawić, dowiedzieć się co mu dolega, wybadać go. Zbywał ich krótko, wogóle rozmawiał teraz niechętnie. Domysłami tylko starali wyjaśnić sobie te niezwykłe zmiany zaszłe w usposobieniu Adama; między innymi powodami wymieniali Lili. Ale to nie było nic pewnego, nikt nie mógł twierdzić.

Adam powoli zaczął nie tylko zaniedbywać się w swych pracach, opuszczał coraz częściej lekcye, stał się niepunktualnym, niecierpliwym, nerwowym. Skutkiem tego coraz częściej zdarzały mu się utarczki z uczniami, potem z rodzicami tychże, aż doszło do tego, że został bez zajęcia, bez grosza. Zaoszczędzone resztki mogły mu wystarczyć na dni kilkanaście.

A potem?

Ale to nie zdawało się na niego działać. Żył dalej po dawnemu. Codziennie zaraz po południu zasiadał przy swym stoliku, w ulubionym kącie kawiarni i wypijał po kilka filiżanek czarnej kawy.

Siedział, zawsze w jeden punkt wpatrzony, na nikogo nie zwracając uwagi. Wzrok błądził codziennie temi samemi drogami, wśród drzew plantacyi i zatrzymywał się na murach kościoła św. Anny, piął się po jego zielonym dachu, na kopułę się drapał i znowu wracał z powrotem.

Coraz częściej odczuwał brak sił, ból głowy; kaszel nie ustawał ani na chwilę. Jaś Gotwicki chciał się nim zaopiekować, wywieźć do siebie na wieś, ale Adam nie przyjął zaproszenia. Próżno go namawiał codziennie, widząc gwałtowne zmiany na gorsze w jego zdrowiu. Dla niego przychodził do tej samej kawiarni i siedział obok niego nic nie mówiąc, tylko z nieukrywanem patrząc przerażeniem na cień dawnego kolegi. Niejednokrotnie wyrzucał sobie, że on jest powodem nieszczęścia. On go przecież wysłał do Zbylitowskich.

— Słuchaj Adasiu — mówił cicho, głaszcząc go po ramieniu — możebyś przecież zdecydował się, jadę pojutrze na wieś.

— Daj spokój, wiesz, że się nie ruszę.

— Mój kochany, nie bądź dziecinnym, na tydzień tylko, wypoczniesz, opamiętasz się, zapomnisz.

Adam zrobił ruch zniecierpliwienia.

Gotwicki zrezygnowany milczac, zamyślił się.

Wtem Adam gwałtownie podniósł się od stołu, a z jego piersi wydobyło się coś w rodzaju skomlenia batożonego psa. Jaś zdrętwiał, bał się czegoś dziwnie.

Ulicą jechał powóz, a w nim Lili z kuzynem. Adam uczynił ruch jakby się chciał kłaniać, jakby się chciał rzucić ku powozowi. Lili obojętnie zwróciła głowę w tę stronę. Adam zdjął z głowy kapelusz. Jej wzrok prześlizgnął się obojętnie po jego twarzy, nie zatrzymawszy się ni chwili. Nie zauważyła go.

Rozpacz go ogarnęła, zbladł jeszcze gwałtowniej i runął bezsilny w ramiona przyjaciela. Zawołano dorożkę i Gotwicki zawiózł Adama do mieszkania. Ułożył go w łóżku, zawołał doktora.

— Zagróżne płuca, ogólne wycieńczenie, może mieć bardzo poważne następstwa — zawyrokował lekarz. — Potrzebuje przedewszystkiem wypoczynku, ciszy, świeżego powietrza.

W chwilę potem Jaś wysłał do swych rodziców list z prośbą o poczynienie przygotowań i usiadł przy łóżku chorego.

Gorączka nie ustępowała, majaczył.

Po kilku dniach czuł się chory znacznie lepiej, wyglądał jednak strasznie. Wychudł, przybladł jeszcze bardziej; skóra robiła wrażenie przeźroczystej. Oczy przygasłe, patrzyły obojętnie, bez wyrazu. Ustawicznie tylko skarżył się na zimno. Musiano palić w piecu. Chwilami, gdy czuł się silniejszym, siadał na łóżku i czytał książkę lub dzienniki.

Raz wieczorem, koło piątej, gdy ściemniać się już w pokoju zaczęło, Adam siedząc w łóżku przeglądał popołudniowy dziennik, Jaś zaś obok niego czytał książkę. Za oknami drobniutki śnieżny puszek padał, w piecu zaś drzewo palące się strzelało wesoło.

Adam odezwał się cicho:

— Wiesz, Jaśku, że mi tak jakoś dobrze, cicho.

— Będzie ci całkiem dobrze niedługo, wstaniesz, pojedziemy na wieś.

— Potem inaczej zacznę żyć.

— Jakże to?

— Poważnie. Moja młodość minęła już — rzekł smutnie.

— Ależ daj spokój. Jesteś taki młody.

— Nie, nie... ja już jestem całkiem spokojny i patrzę trzeźwo... minęła moja młodość.

Potem zaczął znów czytać. Za chwilę rzekł zupełnie spokojnie.

— Jest właśnie wzmianka o ślubie... wiesz... Zbylitowska idzie zamąż... za kuzyna.

Gotwicki zbladł. Bał się, ażeby ta wiadomość nie sprawiła fatalnego skutku. Ale Adam był nieporuszony.

Lili dla niego już nie istniała. To tylko wspomnienia jakieś blade.

Milczeli.

W pokoju była cisza. Wśród mroku, z pod uchylonych drzwiczek pieca dobywał się wązki pas światła żółto-czerwonego i igrał po pościeli łóżka, a drzewo wesoło strzelało.

Po długiej chwili, Adam rzekł cicho:

— Proszę cię, zrób mi przysługę.

— Chętnie.

— Weź... otwórz szufladę... tam po prawej stronie leży brulion... mój pamiętnik, w nim fotografia, kilka kartek... rzuć to tam... niech spłonie... ma młodość!

Gotwicki wyjął brulion i zbliżył się do pieca.

— Stój! — krzyknął w tej chwili Adam...

Pokaż... przynajmniej fotografię... nie, nie... rzuć... wszystko...

Ogień buchnął płomieniem.

Za oknami śnieg leciał dużymi płatami i świat cały spowijał w swą biel.

K O N I E C.





Szpital polowy:

Personal szpitala nr. 5/1. W środku komendant dr. Salter, na prawo dr. Korolewicz, na lewo dr. Nowotny.

Personal lekarski i służba sanitarna przed pałacem, w którym jest urządzony szpital.

Szpital polowy.

Zdarza się nieraz słyszeć głosy, jakie to jedwabne życie pędzą lekarze na wojnie! Zdala od linii bojowej, nie narażeni na kule nieprzyjacielskie siedzą sobie spokojnie, gdy tymczasem żołnierz cierpi nie tylko niewygody, ale każdej chwili może być przygotowanym na niechybną śmierć lub, co najmniej, kalectwo.

Tak jednakowoż mogą mówić tylko ci, którzy nie zastanawiają się nad tem, jak ciężkim i odpowiedzialnym, choć bardzo szczytnym, jest zawód lekarza, o ile jest on nim z zamiłowania i chęci niesienia pomocy cierpiącym, a nie zapewnienie sobie tylko niezależnego bytu.

Zwłaszcza w czasie wojennym jest to zajęcie wcale nie do pozazdroszczenia, nie tylko bowiem narażonym się jest przy spełnianiu swych zawodowych czynności na te same niebezpieczeństwa, co żołnierz biorący udział w walce, ponadto ma się ciągle do czynienia z chorobami zakaźnemi, które lekarzy wcale nie oszczędzają.

Aby Czytelników przekonać o prawdziwości tego twierdzenia, postaraliśmy się o cały szereg autentycznych zdjęć fotograficznych, które malują dokładnie życie w szpitalu polowym, gdzie jest właściwe miejsce działalności lekarza wojskowego.

Służba sanitarna w czasie wojennym urządzoną jest w ten sposób, iż bezpośrednio poza linią bojową znajdują się tak zwane miejsca opatrunkowe



Szpital polowy: Jeden ze szpitali polowych na terenie walk w Galicyi.





Szpital polowy:

Operacya w szpitalu. Ostatni na prawo dr. Nowotny z Zakopanego. Drugi od lewej strony komendant szpitala dr. Salter.

Kwatery lekarskie. Na lewo dr. Nowotny, chirurg, w środku dr. Korolewicz, internista, na prawo ksiądz Jarosiński, kapelan.

(Verbandstellen), dokąd specyalnie w tym celu przeznaczeni żołnierze sprowadzają lub znoszą rannych swych kolegów. Tutaj zakłada się im prowizoryczne opatrunki, następnie transportuje się do szpitala polowego, znajdującego się nieco dalej, poza donioslością kul karabinowych i armatnich. Budynki lub namioty, w których pomieszczeni są chorzy i ranni, znajdują się na mocy konwencyi genewskiej pod opieką flagi „Czerwonego Krzyża“, nie mogą też być ostrzeliwane, doświadczenie przecież ostatnich czasów uczy, że nieprzyjaciel lekceważy sobie prawa międzynarodowe.

Zazwyczaj umieszcza się szpital polowy w jakimś większym budynku n. p. pałacu lub zamku, w gmachu szkolnym lub urzędowym, nieraz w opustoszałym kościele lub fabryce, z braku innego pomieszczenia buduje się specyalne baraki lub rozbija namioty.

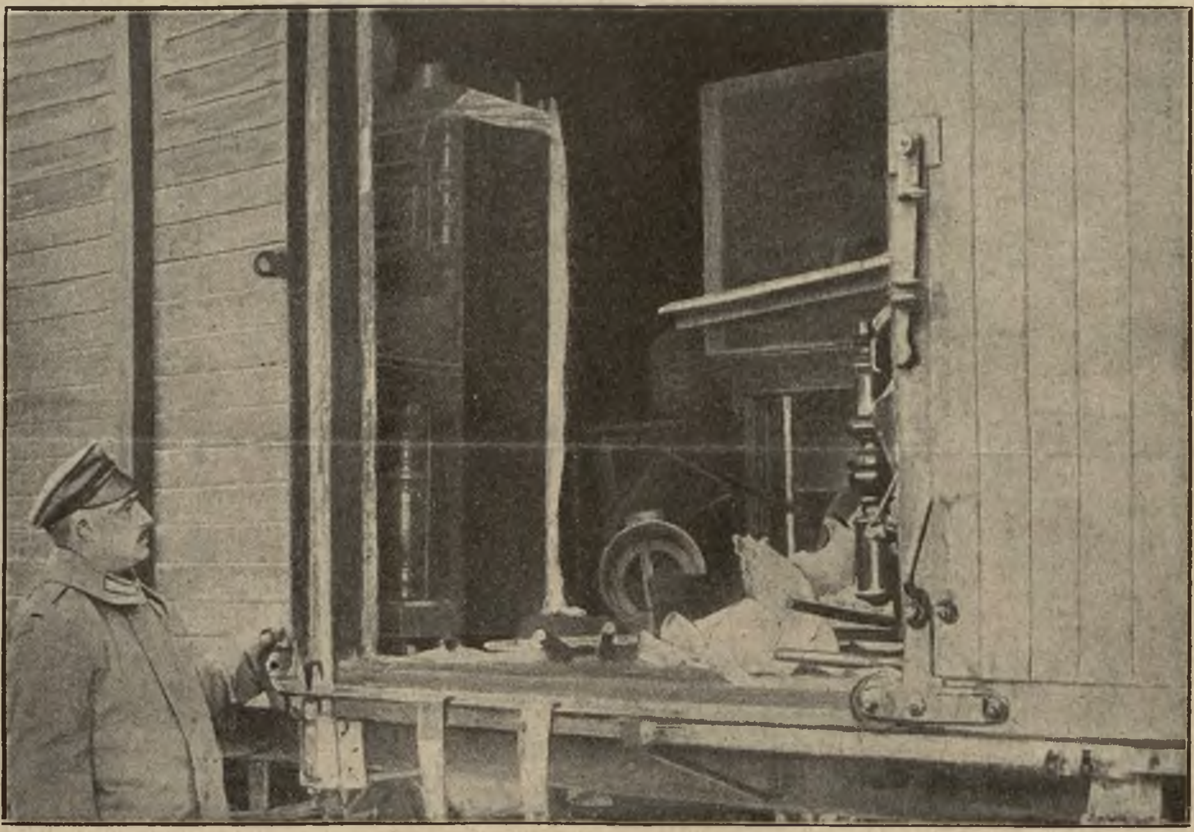
Z miejsca opatrunkowego do szpitala polowego prowadzi zazwyczaj kolejka polowa, która ułatwia wygodne przewożenie ciężej rannych.

Dotąd w wojennym czasie zwracano głównie uwagę na część chirurgiczną i w tym kierunku kształcono specyalnie lekarzy wojskowych, obecnie każdy szpital składa się z dwu równorzędnych oddziałów, chirurgicznego i wewnętrznego, pozatem istnieją także specyalne szpitale zakaźne, choroby bowiem epidemiczne występują stale podczas każdej wojny.

W miarę, jak posuwa się linia bojowa, zmienia też i miejsce swego pobytu szpital polowy, który jest wprawdzie bardzo skomplikowaną całością, funkcyonuje przecież bardzo składnie.

Komenda i naczelne kierownictwo spoczywa w rękach doświadczonego lekarza wojskowego, zostającego w czynnej służbie, który ma oddanych do pomocy kilku lub kilkunastu nawet młodszych lekarzy, cały zastęp służby sanitarnej, odpowiednio wyszkolonej i personal administracyjny.

Służbę sanitarną pełnią żołnierze, ochotnicy pielęgniarze i pielęgniarki oraz zakonnice, do każdego szpitala przydzieleni są nadto duszpasterze, którzy mają nieść chorym pociechy religijne.



Z teatru wojny: Wnętrze rosyjskiego wagonu towarowego podczas cofania się z Prus Wschodnich, zawierające najrozmaitsze zrabowane przedmioty, należące do urządzenia domowego.

Ponieważ szpitale polowe obliczone są na kilkaset łóżek, ponadto zaś licznym jest i personal szpitalny, gospodarstwo prowadzi się we własnym zarządzie, kuchnia zaś pozostaje stale pod kontrolą lekarską.

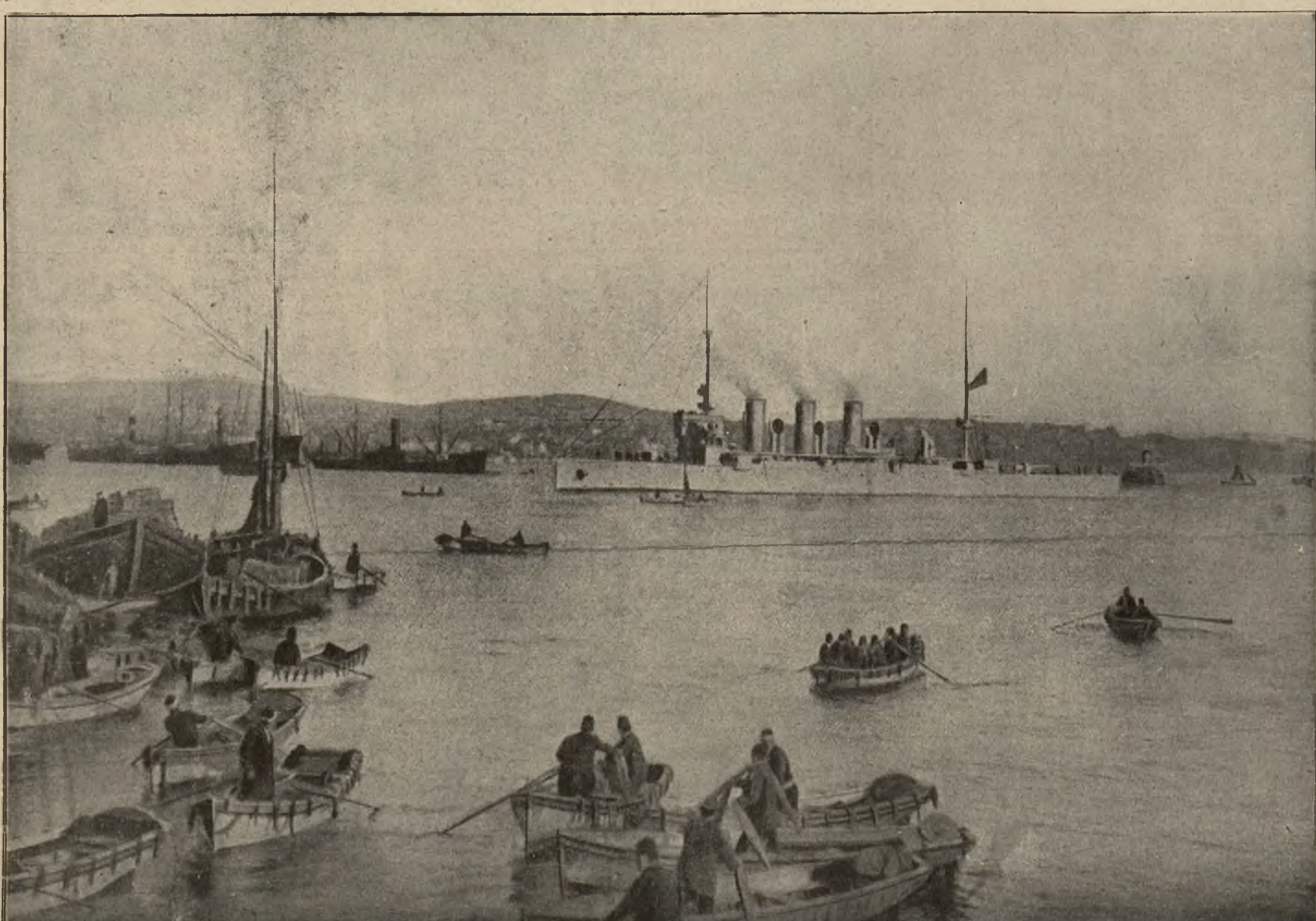




Kwatery lekarskie. **Szpital polowy:** Na oddziale wewnętrznym szpitala.



Nowa placówka artystyczna w Krakowie: Kurs rysunków, malowania i modelowania pod kierunkiem artystów T. Błotnickiego (X) i W. Wodzinowskiego (XX)



Walka o Konstantynopol: Port w Konstantynopolu,



Transport rannych za pomocą kolejki polowej.



Szpital polowy: Groby zmarłych w szpitalu rannych oficerów. Przy grobach kapelan szpitala.

Do dyspozycyi ma każdy tego rodzaju zakład odpowiednią liczbę automobilów, wozów, lektyk i t. d., aby w danym wypadku, o ile zajdzie tego potrzeba, można szybko i wygodnie przerzucić się na inne, odpowiedniejsze miejsce.

Jak z tego widać, komendant szpitala ma więc o czem myśleć, mało czasu zostaje mu też na niesienie cierpiącym pomocy. W tym celu do poszczególnych szpitali poprzydzielano na czas wojny cywilnych lekarzy-specyalistów, głównie chirurgów. Wogóle zaznaczyć należy, że liczba lekarzy, zajętych podczas obecnej wojny w szeregach armii austryackiej, jest zupełnie wystarczająca, choć tu i ówdzie są oni rzeczywiście przeciążeni pracą.

Po przewiezieniu z miejsca opatrunkowego lub linii bojowej, poddaje się rannego lub chorego dokładnemu zbadaniu, ewentualnie dokonuje się na nim zabiegu operacyjnego, następnie zaś poddaje się go racyonalnemu leczeniu, które trwa aż do chwili, gdy stan jego do tego stopnia się poprawi, iż możebnem się stanie przewiezienie w głąb kraju, do miejsca, leżącego zdala od zgiełku wojennego.

Praca w szpitalu polowym trwa też nieraz dzień i noc, w braku innego miejsca operacyi dokonuje się i pod gołem niebem, na ogół przecież stwierdzić się musi, że wyposażone są należycie w to wszystko, czego wymaga ciągły postęp sztuki lekarskiej.

Z listów, jakie otrzymujemy z różnych stron monarchii od rannych i chorych żołnierzy, widoczną jest wdzięczność, jaką żywią dla swych zacnych opiekunów, obchodzących się z pacyentami prawdziwie po ojcowsku. Również i kobiety-lekarki, których wiele zajętych jest w szpitalach polowych, potrafiły sobie wstępnym bojem zdobyć uznanie leczonych, choć początkowo jakoś z niedowierzaniem na nie spoglądali.

O ile uważa się na to i kładzie główny nacisk, by chorym na niczem nie zbywało, o tyle znowu lekarze i personal pomocniczy nie zawsze i nie wszędzie mają należyte pomieszczenie i wygody. Nie narzekają przecież na swój los, owszem, znoszą go z poddaniem i z tem przeświadczeniem, iż praca ich zyska uznanie całego społeczeństwa.



Z teatru wojny: Bank w Piłokalniach, zniszczony przez cofających się z Prus Wschodnich Rosyan. W głębi wysadzone dynamitem w powietrze pancerne drzwi od kasy.

W szpitalu nr. 5/1, do którego odnoszą się zamieszczone w tym numerze illustracye, komendantem jest lekarz sztabowy, dr. Salter, ponadto ordynują tu między innymi: znany operator krakowski i prymaryusz szpitala św. Łazarza, profesor Maksymilian Rutowski, krakowski internista dr. Korolewicz oraz chirurg z Zakopanego, dr. Nowotny.





Szpital polowy:

Lekarze obserwują działanie ognia ciężkich haubic. Na lewo prof. Rutkowski, kapitan artyleryi Kowalski, kapitan artyleryi Siegmund. W tyle na prawo dr. Korolewicz

Przed budynkiem szpitalnym. Na lewo prof. Rutkowski, obok niego komendant szpitala dr. Salter, na prawo dr. Nowotny i dr. Korolewicz.

Prócz zdjęć, przedstawiających specyalne sceny z życia szpitalnego, pomieściliśmy także kilka innych, równocześnie nam nadesłanych n. p. widok rowów strzeleckich, lekarzy śledzących przebieg walki i t. p.





W tak zwanym „dekungu" przy rowach strzeleckich. **Szpital polowy:** Zabijanie wołu dla chorych.

Nowa placówka artystyczna w Krakowie.

Inter arma silent Mousae. Tak mawiali starożytni Rzymianie, ale twierdzenie to nie odpowiada rzeczywistości. Wojna istotnie stwarza ciężkie warunki, tamujące wogóle bieg normalnego życia, a tem samem i sztuki, ale to nie znaczy wcale, aby ta sztuka wobec wojny traciła swą wartość i znaczenie. —

Przeciwnie, w chwilach powszechnego zdenerwowania i przygnębienia, dla utrzymania tak niezbędnej równowagi duchowej, może najszlachetniejszym środkiem są właśnie wzruszenia artystyczne i praca w cichej świątyni sztuki.

Wyrazem tej duchowej potrzeby jest właśnie powstała niedawno w Krakowie szkoła rysunków, malowania i modelowania, pozostająca pod kierunkiem artystów T. Błotnickiego i W. Wodzinowskiego.

Wobec zamknięcia chwilowego innych instytucyi, poświęconych kultowi piękna, szkoła ta chlubnie wypełnia lukę, spowodowaną ciężkimi warunkami, jakie obecnie przeżywamy. Już z początkiem roku bieżącego liczne grono osób płci obojga rozpoczęło studya na kursie rysunków i malowania, założonym przez znanych artystów, Błotnickiego i Dębickiego. Obszerna sala przy ulicy Starowiślnej 10, urządzona jako wzorowa pracownia, pomieściła wszystkich, garnących się do światła sztuki. W miesiącu lutym objął współkierownictwo ceniony artysta malarz, a doświadczony pedagog, W. Wodzinowski, i w dalszym ciągu prowadzi naukę programem objętą, a w szczególności poranne ćwiczenia malarskie i rysunkowe głów z natury; wieczorne studya aktu akademickiego objął artysta rzeźbiarz T. Błotnicki. Godziny popołudniowe poświęcone są modelowaniu i rysunkom z odlewów gipsowych. Tę to właśnie chwilę przedstawia illustracya, w naszem piśmie zamieszczona.

Ponadto zarząd kursu urządza co tydzień, cieszące się niezwykłą frekwencyą wytwornej publiczności, prelekcye w zakres sztuki wchodzące. — W ten sposób szkoła ta, dzięki energii zasłużonych kierowników, stała się w tych rzeczywiście ciężkich dla sztuki czasach — poważną placówką artystyczną, zasługującą na uznanie i jak najgorętsze poparcie.

Walka o Konstantynopol.

Gdy w obecnej fazie wojny w walkach lądowych panuje pewien zastój, wywołany warunkami atmosferycznymi, wzmożoną zato działalność rozwijają walczące państwa na morzu. Anglia i Niemcy urządzają sobie wzajemnie blokady, przyczem na północnych morzach odbywają się formalne polowania na okręty handlowe.

Gdy na północy wre ta „partyzancka" walka okrętowa, na południu olbrzymia eskadra, złożona z 60 okrętow angielskich i francuskich, przypuściła gwałtowny szturm na forty cieśniny Dardanelskiej... Jak dotychczas bombardowanie to nie odniosło żadnego skutku, bo jak wiadomo, cieśnina ta, będąca kluczem do posiadania Konstantynopola, jest tak ufortyfikowaną, że zdobycie jej jest prawie niemożliwe.

Niemniej atak ten stanowi w obecnej wojnie moment niezmiernie doniosły. Walka o posiadanie Konstantynopola — to najdrażliwszy punkt całej polityki europejskiej. Mocarstwo, które tam się zagospodaruje, zdobędzie niebywały wpływ na całym południowym wschodzie i stanie się potęgą nie do zwalczenia. A właśnie Konstantynopol — to cel marzeń Rosyi, która pragnęłaby posiadać dwie stolice: na północy i południu — jako spadkobierczyni Bizancyum. Te pragnienia Rosyi wróżyły też Turcyi, choćby najbardziej osłabionej, jeszcze długie panowanie nad Dardanelami, bo na spełnienie życzeń rosyjskich nie mogłoby się zgodzić żadne mocarstwo, nawet Anglia i Francya, bez uszczerbku dla swej potęgi...

Tymczasem teraz właśnie oba te mocarstwa zaatakowały cieśninę Dardanelską i rozpoczęły walkę o Konstantynopol. Jest to walka bardzo trudna, a przytem bardzo niebezpieczna. Prasa rosyjska zaczyna już uderzać w struny tryumfalne i... anektować Konstantynopol. Pomijając, że są to nadzieje zbyt przedwczesne, nie mogą pozostać bez echa zwłaszcza wśród sprzymierzeńców Rosyi, którzy nie poto chyba prowadzą walkę, aby uczynić z Rosyi groźną dla siebie potęgę nie tylko na północy, ale i na południu.

Walka o Konstantynopol, rozpoczęta w tych dniach przez eskadrę angielską i francuską, może też okazać się bardziej niebezpieczną dla sprzymierzeńców trójporozumienia, bo może stać się kością niezgody pomiędzy sojusznikami.



Z teatru wojny: Piechota turecka w marszu na linię bojową.

JÓZEF LASOŃ.

Pułk drugi.

(Ze wspomnień Legionisty).

2

A z całego batalionu znów ta dwunasta kompania, rzecby można, „okiem“ batalionu jest. Jakich tam żołnierzy nie było w tej kompanii?! I rozmaita narodowość i zawody pomieszały się z sobą! Pierwszy pluton to obywatele Ludwinowa i Podgórza, drugi, to szwajcarski, trzeci przemyski, czwarty wreszcie... lwowski. Przedstawiciele prawie że całej Galicyi i rozmaitego stanu. Obok inżynierów i profesorów służą jako szeregowcy rzemieślnicy, rolnicy i t. d. Ba, nawet i hrabia się znalazł, jako szeregowiec w plutonie szwajcarskim. To hrabia Biberstein de Trembiński, urzędnik Muzeum Narodowego w Rapperswilu. A żołnierze z nadwiślańskich okolic Podgórza z dumą jeden do drugiego mówi:

— Ty, patrzaj! Ten ci hrabia, a ja ceglarz, i koledzyśmy!... Hi! hi! hi! Ten by ci w cywilu gadać ze mną nie chciał, a teraz to se gadamy „ty“. Takie ci to polskie wojsko!

— Tak nas losy połączyły!

— W każdym razie, przecież to hrabia, i to podobno porządny hrabia, z dobrej rodziny — tłumaczą sobie wzajem.

— A nie wygląda całkiem na hrabiego!

— We wojsku go widzisz! Ale zobacz go w cywilu!

— Hm! Hm!

Rozmowy żołnierzy przerywa głos Mroczkowskiego, nawołujący furmanów do siadania. Widzi już maszerujący pod górę batalion, tren więc ruszy zaraz.

— Mar...r...r...ś! — komendrruje Mroczkowski.

Rusza powoli tren po błotnistej drodze, wypoczęte konie żwawiej ciągną. Droga górzysta się zaczyna, poczem ukazują się wąwozy górskie. Maszeruje się, jak gdyby w olbrzymiem mieście, gdzie na prawo i lewo stoją olbrzymie gmachy, tak tutaj zaczyna się podróż, tylko miast gmachów i budynków stoją góry, pokryte drzewami. To przednóża Karpat. Gdzieniegdzie malutka równinka zasiana kukurudzą, przy drodze znów rzędem słoneczniki okwitłe, ze zwieszoną tarczą ziarnistą ku drodze się pochylają.

Żołnierze zerwali kilka słoneczników i kukurudz i racząc się niemi, krzywią trochę gębami.

— Jak niema co innego, dobre i to! — zachwalają.

Mijamy wioski, rozsiadłe gdzieniegdzie przy drogach. Tu już nie znać takiej paniki, jak w okolicach Husst. Ludność przeważnie żydowska, gdyż prawie przy każdym domu stoją przybrane w zieleń „kuczki“. W odświętnych bekieszach przychodzili, patrząc się na maszerujące wojsko.

— Wuss ist! Wuss ist? — szwargocą.

— Legionen! Polnische Soldaten!

— Aj... jaj... jaj...! — śmieją się.

Gdzieniegdzie przy chatach ludność słowiańską widać. Kobiety, w krótkich po kolana koszulach, z gołemi łydkami, w kolorowych stanikach, wyszczerzają zęby i śmieją się do żołnierzy.

— Cóż to? — pyta jeden drugiego — one spodnic nie noszą, tylko w koszuli samej chodzą?

— Taki zwyczaj! Co kraj, to obyczaj!

— Wygląda, jak baletnica.

— Apetyczna... hę?

— Niby... tak se!

— Zjadłbyś?

— No... tak... z biedy.

— To Węgry?

— Nie! Słowianie.

Słońce wyjrzało z za chmur, ciepłe promienie ogrzały przemokłą ziemię. Po dniach słotnych, pochmurnych, przyjemnie się zrobiło po polach i lasach.

To też weselej się zrobiło i pomiędzy żołnierzami, niejedna zachmurzona twarz rozjaśniła się, gęby poczęły pracować. Zapomniano o wszystkich troskach gniotących, a nawet i żołądek uspokoił się, nie burczał w niecierpliwości.

— Tu ci klawo będzie się dekować — mówi jeden z Podgórzanów — jak byśmy się tu bili. Tyle ci tu krzaków, drzew, pagórków! Jakbym się tu wdekował, toby mnie cała kompania nie znalazła.

— Taki masz strach?

— Idze... idze... strach... Do tego mówię, jakby mnie otoczyli, to bym mógł się bronić!

— Waleczny! Teraz!

— Cóż ty mnie chcesz nabrać?... Z Ludwinowa jestem!

— Ja z Grzegórzek.

— Cicho tam — zagrzmiał głos Mroczkowskiego — gębę stulić... spokój!

Luba to była wiara. Jak kogo polubiła, to za nim w ogień szła, z weselem w piekło by poszła. Ot, wspomnę kompanijnego Dziekanowskiego. Ten, żeby się nie rozstać ze swoim plutonem, który wyćwiczył, zrzekł się godności kompanijnego, aby razem być. Ale od kompanii plutonu mu nie odjęto, pozostał kompanijnym z awansem na porucznika. Rzec można, na rękach go żołnierze nosili. Ojcem i duszą kompanii był. Ustawicznie pamiętał, aby żołnierz nie był głodny, aby wszystko miał. Ale też i rodzonemu bratu by nic nie przepuścił. Było co źle, dawaj winnego, zaraz tam coś mu wlepił, żeby on i inni na przyszłość wiedzieli, że żołnierz — to nie stara baba. Sprężysty musi być, energiczny, dobrze rzeczy wojskowe znać..., no... i... słuchać. Rozkaz u niego — to rzecz święta.

Mówiąc prawdę, dużo to i „szarańczy“ było, ale się jakoś ich wypleniło. Trudno, rozmaici są ludzie.

A porucznik Sikorski, kompanijny X. kompanii. To urodzony żołnierz, wymowny dowódca, choć ostry, gniewny, niby nieprzystępny, ale z szacunkiem każdy żołnierz o nim mówił. Wałęga znów, chorąży dwunastej kompanii, bratanek biskupa tarnowskiego, choć mizerak z wyglądu, zawsze z żołnierzy niezadowolony, zawsze zdaje mu się, że źle robią, ryczy w plutonie, jak tygrys nad ofiarami, to, gdzie największe niebezpieczeństwo, gdzie najcięższa służba, sam się pcha. Smiali się z niego nieraz oficerowie, mówiąc:

— Ty z nas pierwszy zginąć chcesz! Chcesz, żeby cię nikt nie uprzedził?

— Jak Bóg da!

— I jak kula trafi.

— Za ojczyznę nie żal zginąć!

— Ale trzeba się jak najlepiej i jak najdłużej przysłużyć, a strzeżonego Pan Bóg strzeże!

— Co komu przeznaczone! — pobrzękując szablą, odpowiadał.

Tak i w tym pierwszym marszu po ziemi węgierskiej z plutonem swoim do przedniej straży się wkręcił. Cieszy go to, że bezpieczeństwo batalionu od nich zależy, że w razie czego, pierwszy będzie się bić. A służba przedniej straży ciężka zaiste była. Wąwozami batalion się posuwa, straż przednia musi nieustannie wzgórza lesiste przeszukiwać, drogę torować. Nużby się nieprzyjaciel na szczycie wzgórza usadowił, karabin maszynowy w ruch puścił, ciężka toby była sprawa. Ale czujne oko mają żołnierze! choć przemęczone ciało dokucza bólem, po górach zwinnie się przekradają, łącznikom sygnał dając, że bezpieczna droga.

A chorąży Wałęga przodem, szablę trzyma nerwowo, jużby chciał bić, ręka mu drży.

Droga prowadzi przez olbrzymią górę, żołnierze pomagają ciągnąć wozy. Wreszcie pierwsze wozy dotarły do szczytu.

Mroczkowski pierwszy na koniu przez lornetę obserwuje ruchy batalionu, który już ze stromej góry zszedł, uroczą doliną maszeruje.

— Darmozjady stać! — krzyczy wesoło — Pod górę pchaliście, to teraz wstrzymywać na dół trzeba.

Patrzę z góry na dolinę. Droga wije się jak wąż, miejscami spadzista, trudno tu będzie z trenem zjechać, ostrożnie trzeba i powoli, gdyż rozpędzony wóz nie skręciłby na zagięciu i, spadając po stokach, gotowy rozbić się.

Powoli zsuwają się wozy w dolinę, wstrzymywane przez żołnierzy, przejeżdżają żwawo przez dolinę, aby pod następną górę wziąć rozpęd. To już ostatnia większa góra, przez którą ma się przejechać. Z wysiłkiem ciągną konie, pomagają żołnierze. Nie widać już po wozach leniwie rozsiadłych maruderów, Mroczkowski ostro się do nich wziął, za nogi kazał ciągnąć, zrzucać.

— Wy, próżniaki — beształ ich — automobilami was wozić! He? Ja wam tu zaraz lekarstwo znajdę. Ciasne buty, boso idź, obtarta noga, popluć trochę, rozetrzeć, zaraz się zagoi.

— Mnie w piersiach kłuje — skarży się jeden — mam kartkę od lekarza.

— Zaczekaj, bracie, jak Moskali pobijemy, to ci nowe płuca wstawimy, a jak ci lekarz dał kartkę, to idź do sanitetów, niech cię noszą.

— Toli — odpowiada — najwięcej sanitetów jechało na wozach, jakże oni mnie będą nieść?

Idący obok, kucharz z dziesiątej kompanii, przystępuje do Mroczkowskiego z uśmiechniętą twarzą i patrząc chytrze na marudera, mówi:

— Komendancie! Ja tam wiozę płuca z zabitego byka, to na kwaterze, jak będzie potrzeba, wprawię mu.

Ale maruder odżera się z miejsca.

— Wam przydałoby się wstawić trochę mózgu do mózgownicy, bo pusta, tak, jak moja flaszka.

— Chodź bracie, dam ci konia — uśmiechnięty kucharz mówi — na koniu pojedziesz!

— Ale... na prawdę? — pyta zaciekawiony.

— Tak! Chodź ze mną.

Niedowierzająco maruder spogląda, ale idzie za kucharzem. Ten odwiązuje krowę, która do wozu uwiązaną była i mówi:

— No! siadaj! pojedziesz!

— Dobrze! jadę — odpowiada maruder, wskakując żwawo na krowę, która, zadziwiona tym wypadkiem, ryczy i nie chce iść.

— Wio! wio! — kilku treniarzy przyskoczyło, poczęło okładać krowę, która ruszyła galopem.

— Trzymaj się ogona! Trzymaj się ogona! — krzyczą za nim.

Ale maruder obłapił krowę za szyję, przytulił się jak do dziewczyny i tak jedzie. Po chwili stanęła krowa i nie chce dalej iść, tylko przeraźliwie ryczy.

— Tak ci tę narzeczoną obcałował, że ryczy z zadowolenia — śmieją się z niego.

Mroczkowski ukrywa śmiech na ustach, dalej ich wymyślać i besztać.

Kucharz ręce do kieszeni włożył i trzęsie się od śmiechu.

— Baczność! psiakrew! — krzyczy Mroczkowski — co wy, do cholery, robicie! Do raportu! Założyć wam każę szpangi. Wojna, psiakrew, jest, lada chwila w ogień możemy się dostać, a tu wam szopki w głowie. Żebyście tylko do ognia byli tacy skorzy...

— Będziemy, komendancie! Będziemy!

— Psiekrwie, cholery! — klnie dalej.

— Będziemy! Pójdziemy do ognia! — rozlegają się głosy.

— Baczność! Uważać na wozy. Karabiny nabite?

— Nabite.

— Spokój, cisza! — podciął konia i kłusem pojechał na czoło trenu. Zapanowała cisza. Ale ledwie tylko komendant odsunął się od nich, już rozpuścili języki, jak kołowrotki. Koło kucharza, jak kurczęta koło kwoki chodzą, a ten im opowiada różne powiastki żołnierskie, z których śmieją się wesoło.

— Cholery — mówi do nich wkońcu poważnie — wam się zdaje, że na Kalwaryę idziecie, albo na jaką wycieczkę, a nie na wojnę.

— Cóż się będziemy smucić? Zle nam, czy co? — odpowiada jeden z grupki, otaczającej go. — Jak jest, tak jest, czasem źle, czasem lepiej. Przyjdzie się bić, to będziemy się bić, a teraz, póki czas, trzeba się rozerwać. Taka ci to już polska natura. Dziś umiera, a przed śmiercią potańcować jeszcze chce. He... he... he...

Przed nami w dolinie skryta ukazuje się duża wieś, jakby małe miasteczko. Kopuła kościółka sterczy w pośrodku, wyróżniając się od nizkich chat. Wokoło góry otaczają miasteczko, gdzieniegdzie na wyżynach bieleje śnieg, a na stokach gór stoi olbrzymi tartak, jakby brama forteczna twierdzy.

— Batalion... stój! — słychać głos komendy kapitana Fabrycego.

Opodal batalionu stanął i tren, czekając na dalsze rozkazy. Mieszkańcy powychodzili z chat i gapią się na nas. Nawiązuję rozmowę z jakimś w podeszłym już wieku mężczyzną i okazuje się, że to Polak, mieszkający tu z rodziną. Pracował w tartaku, ale teraz tartak zamknięty.

— Dużo tu rodzin polskich? — pytam jegomościa.

— O, było, panie, około dziewięćdziesiąt, ale teraz powyjeżdżało masę. Brak pracy, obawa przed Moskalami, tak, że pozostało może ze dwadzieścia polskich rodzin.

Zaprasza mnie uprzejmie na kwaterę, wskazując na chatę, gdzie mieszka. Dziękuję mu i obiecuję przyjść, jak tylko batalion się zakwateruje.

— Dobrze, panie, dobrze. A może ma pan coś ciepłego w domu? Z chęcią kupiłbym.

— Kawa będzie.

— Proszę, proszę. Byle żołądek rozgrzać.

Pobiegł szybko do chaty i przyniósł potężny garnuszek kawy ze śmietanką. Ledwie nektarem tym rozkoszować się zacząłem, gdy nagle dojrzało mnie chytre oko Mroczkowskiego. Podciął konia i przypadł do mnie.

— Imieniem Rządu N. K. N. — z rozmachem mówi — konfiskuję ten dobrze robiący napój, a kwit natychmiast wystawię.

Podałem mu garnuszek, upominając:

— Tylko nie wszystko!

— Nie, nie! — odparł, wychylając duszkiem gorącą kawę i oddając próżny garnuszek.

— Niby nie wszystko, a nic nie zostało — zwracam mu uwagę.

— Jakto? A garnuszek pies? Przecież garnuszek pozostał. — Podciął konia i śmieje się odjechał.

— Komendancie, kwit — żartuję z niego.

— Jak pan pozwoli, przyniosę jeszcze — nakłania mnie nieznajomy.

— O, dziękuję. Jak wstąpię do pana, to i owszem. Na razie dość.

Rozkwaterował się batalion w tartaku. Legli strudzeni żołnierze po długim marszu, kucharze rozpalili ogniska, strawę gotując. Dyrektor tartaku odstąpił cały dom na kwatery dla oficerów i kancelaryi batalionu.

Rozstawiono placówki, sierżanci fasują amunicyę dla plutonów. Niedługo widocznie pozostaniemy tutaj.

Wieczór już zapadał, gdym szedł na zamówioną kwaterę. Gospodarz domu przedstawił mi swoją rodzinę, rozgadaliśmy się, jak gdyby dawni znajomi. Z ciekawością dopytywali się o nasze wojsko, ciesząc się, że polski żołnierz znów za oręż porwał.

— A cóż — pytam — byli tu Moskale?

— Tu, nie, panie — odpowiedziała żona — ale w poblizkich wsiach grasowali. Strach, co się tam działo.

— Byliście państwo niespokojni?

— Tak, strasznie niespokojni. Już mieliśmy rzucić całe gospodarstwo, ale żal było, więc zostaliśmy. I, dzięki Bogu, żeśmy tu zostali, bo kto wie, coby nas w drodze było spotkało, a tak, to tu już bezpieczniej. Panowie przyszli, obrona będzie.

— Wygnamy wroga!

— Daj Boże, jak najprędzej.

Gospodyni zastawiła stół potrawami, zapraszając do stołu.

— Wybaczcie państwo — zwracam się do nich — zjeść zjem, ale pozwólcie mi, żebym i ja wam dłużny nie pozostał.

— O tem, potem — śmiejąc się, odpowiada gospodarz i gwałtem sadowi mnie do stołu.

— Bo, widzi pan — tłumaczy gospodyni — miło jest spotkać rodaka na obcej ziemi, a czem chata bogata, tem rada. Jakżeby to było, byśmy żołnierza-rodaka z chaty puścili o niczem, głodnego może?

— Ależ, nie jestem głodnym — wykręcam się.

— Nic panu nie pomoże — uśmiecha się córka, szesnastoletnia pannica — wzięliśmy pana do niewoli i musi się pan poddać rozkazom przeciwnika.

— Do tego tak miłego przeciwnika, jak państwo — odpieram atak z uśmiechem.

Dobrzy to ludzie, zacni. Z żalem spoglądam na zegarek, szósta dochodzi. Żegnam się, dziękując za przyjęcie.

— Ale pan na noc spać przyjdzie? — pyta gospodarz. — Tam, w tym tartaku to trochę za zimno. Przyjdź pan, łóżko chętnie odstąpimy.

— Dziękuję, może skorzystam z tego, o ile batalionowy pozwoli na prywatną kwaterę.

— Przyjdź pan, czekamy!

— Będę się starał. Cześć!

— Cześć! Cześć!

Odprowadzili mnie aż na drogę, przypominając przy pożegnaniu o przyrzeczeniu.

— Będę pamiętał — rzekłem, żegnając się.

Przez drogę przebiega dragon austryacki, pewnie ze sztabu jedzie — myślę sobie — widząc go zmierzającego w stronę kwatery batalionowego.

Plutonami zaczyna się fasunek naboi. To najpotrzebniejsza strawa obecnie dla żołnierza. Gdy naboi brak, to rozpacz żołnierza ogarnia. Można ścierpieć i głód i nędzę, lecz naboje muszą być. To pierwsze przykazanie żołnierskie.

Zapowiedziano wypoczynek, z kwater nikt wydalać się nie może, niewiadomo, co w nocy będzie. W kancelaryi batalionowy odbiera meldunki, raporty do sztabu wysyła.

Z żalem myślę o gościnnym domu polskim, gdzie na mnie napróżno czekają i wygodnie posłanem łóżku, gdzieby powykręcane marszem gnaty wyprostować można. Ale trudno, trzeba z batalionem los podzielić, w tartaku rozłożyć się na deskach. Wyszukuję jakieś ciepłe miejsce i robię spostrzeżenie, że nie brak tu świeżego powietrza. gdyż ze wszystkich stron wiatr wpada. Była to szopa, nakryta tylko dachem. Drewniana podłoga, pod nią przepływająca rzeczka, która pędziła tartak. Wyciągając słomę z pod śpiących kolegów, znosiłem ją skrzętnie, aby gniazdko uwić. Deskami zasłoniłem się trochę od przejmującego wiatru i, zwijając się jak jeż w kłębek, próbowałem zasnąć. Ba! nie tak to łatwo! Plecak pod głową twardy trochę, kurtkę naciągnąłem na twarz, kocem owinąłem się, aby niegodziwy wiaterek nie bardzo dmuchał na mnie. Po chwili czuję, że ciało poczyna się rozgrzewać. Pod wpływem ciepła, ukryty w łonie mojem wróg, chytrze wysunął się z legowiska i dalej atakować. Sięgnąłem ręką za pazuchę, wyjmuję dojrzałego owada, który najspokojniej pasł się kosztem mojej krwi.

— Co z nim zrobić — myślę — rzucić na deski, szelma gotów z powrotem przywędrować, jeśli nie do mnie, to do kolegów. Iść go utopić w rzece, nie chce mi się wstać, a zresztą musiałbym mu młyński kamień uwiązać u nogi, aby poszedł na dno, inaczej dopłynie do brzegu. Ha — postanowiłem wkończu — poczekaj ty moskiewska duszo, sprawię ci łaźnię. Udusiłem go i rzuciłem obok. Ale nie był to jedyny przedstawiciel tej rasy. Był to dopiero jeden, widocznie ze straży przedniej. Rozpocząłem polowanie na wielką skalę.

Co który pockliwi mię w okolicy serca, łaps go palcami, pocznę go ckliwić, póki mi nie pęknie.

Utrapienie to było. Ani sposób ognać się przed nimi. Co parę dni zmieniałem bieliznę, ale gdy się dostaną do człowieka, to już długi czas mu towarzyszą, znosząc cierpliwie dolę i niedolę żołnierską.

. Trzebaby wszystko gruntownie zrzucić, ubranie szczególnie wyczyścić.

Z zadowoleniem spostrzegam, że nie tylko ja sam spać nie mogę, polują i inni żołnierze.

Wreszcie wytłukłem zdaje się dowódców, gdyż opuściło mnie już to swędzenie skóry, widocznie zniszczyłem większą część nieprzyjaciela, a reszta cofnęła się w porządku.

Wycieram palce o drewnianą podłogę i owijam się kocem. Wiatr huczy po szopie, zimnym pocałunkiem obejmuje głowy śpiących żołnierzy. Słychać głosy wyjących psów, które za trenem wlokły się. Widocznie na wozy z mięsem się dostały i żołnierze im łaźnię sprawili.

Senność ogarnia powoli... zasypiam.

* *

Głos trąbki alarmowej zrywa nas ze snu. Na gwałt ubierają się żołnierze, pakują tornistry. Przed tartakiem stoi już dziewiąta kompania porucznika Florka, gotowa do wymarszu.

Wybiegamy przed tartak. Wśród kompanijnych ożywienie jakieś, narada. Godzina wpół do pierwszej rano, ciemności egipskie na polu.

Bum... bum... — słychać dalekie echo strzałów armatnich.

— Co to jest?

— Słyszycie?

— Nasze bataliony w ogniu!

— To artylerya rosyjska gra — szeptają. — Pierwszy i drugi batalion naszego pułku w ogniu.

— Idziemy w ogień!

Znać powagę w rozmowach. Ustały śmiechy i żarty, z wytężoną uwagą słucha każdy głosu komendy. Batalion stoi sformowany, oficerowie dzielą plutony, poczem udają się po szczegółowe instrukcye do batalionowego.

Wydzielono maruderów, dwa plutony pozostały jako załoga na kwaterze, reszta batalionu ma spełnić zadanie.

— Będą chrzciny — szeptają żołnierze.

Nieustannie słychać armatnią kanonadę. To walka pod Marmarosz Sziget. Raz silniej, drugi raz znów słabiej słychać huk armatnich gardzieli. Niektórzy żołnierze obliczają, jak daleko może być stąd do linii ognia. Jedni twierdzą, że musimy być prawie że pod samą linią bitwy, gdyż huk słychać dokładnie, a przecież przegradzają nas wzgórza, wstrzymujące poniekąd echo.

Za chwilę przybiegli uśmiechnęci oficerowie, żwawo koło plutonów się kręcąc. Przejrzano ładunki, sierżanci rozdzielili każdemu po puszce konserw i pięć sucharów.

— Baczność! — zagrzmiały głosy plutonowych.

Wyprężyły się szeregi, wyprostowały.

— Na ramię broń!

Równiutko zarzegotały rzemienie, rzekłbyś, nie plutony to uczyniły, lecz jeden żołnierz.

— Ładować!

Roztworzyły się „patrontaszki“, jakby jedną ręką otwarte.

— Ładuj broń!

Zarzegotały karabiny, roztworzyły zamki i nabój do środka wpadł, aby, jak przyjdzie wróg, pluć żelazem na niego można było.

— Na ramię broń! Czwórki w prawo zwrot! Marsz!...

Wysuwają się ciemną nocą plutony, rozdzielają po drodze, każdy we wskazanym kierunku idzie, bo wróg przez przełęcz przekraść się chce, aby kraj zniszczyć.

Ciemną nocą wymaszerowały... przy dźwięku wojennej muzyki... huku armat rosyjskich, na spotkanie wroga, który pod Marmarosz Sziget wpadł i walkę już rozpoczął z naszymi batalionami.

Cicho... poważnie... żołnierze szli, jakby na uroczystość jaką wielką, niebywałą...

A drżało tam niejedno serce, aby jak najprędzej wroga tłuc, ciesząc się, że to może być lada chwila.

. . . .

Kompanijny Dziekanowski prowadzi pierwszy pluton swej kompanii. To Podgórzanie w drugim powołaniu wcieleni do II. pułku. Prowadzi ich na wyznaczoną placówkę. Obsadzić mają górę K., odeprzeć nieprzyjaciela, który zamierza przekraść się na węgierską ziemię.

Noc ciemna, mglista, o parę kroków nic nie widać. Przesuwają się powoli po drodze, skręca się pluton na lewo i wchodzi w podnóża góry. Gęsta krzewina tamuje drogę, rękami trzeba rozgarniać gałęzie, przedzierać się przez zarośla. Przebyli wreszcie gęstwinę, teraz pod górę trzeba się piąć, spadzistą górę i wysoką 1260 metrów nad poziom morza. Odwieczne buki gęsto rozwinięte pokryły górę, żołnierz pojedyńczo musi iść. Gdzieniegdzie wiekiem starości zwalone drzewa leżą na drodze, tamując przejście. Trzeba przez nie przełazić, przeskakiwać.

Ciemności piekielne.

Żołnierz nie widzi przed sobą nic, tylko po stuku poznaje, iż przed nim idą inni, maca ostrożnie pnie drzew i z trudem pnie się w górę. Jeden drugiego za płaszcz się czepił, aby mu lepiej było iść, aby się nie zgubić. Kompanijny z przewodnikiem na czele idzie, dogodną drogę obiera.

Dociera z plutonem do terenu wiecznego śniegu.

— Już niedługo będzie szczyt góry — szepczą żołnierze.

Śnieg skrzypi pod nogami, zimno przeraźliwe przejmuje ciałem. Im wyżej, tem większy śnieg leży, nogi zapadają się w śniegu po kostki, podkuty but pośliźgnie się nieraz, zatoczy się niektóry żołnierz, ale drudzy go podtrzymują i pną się dalej w górę.

Wreszcie dociera kompanijny szczytu góry, odsapnąwszy głęboko, wstrzymuje pluton, który stanął za nim na małej, pochyłej płaszczyźnie. Wyznacza patrole, reszta plutonu ma spocząć.

Wszystko teraz od patroli zależy. To też wybrał dzielnych chłopów i rozpuścił ich po północnym stoku góry, łączniki za nimi posłał.

Reszta plutonu spoczęła.

W śnieg otulił się żołnierz, jakby pierzyną oto czony, lecz długo leżeć się tak nie da, tembardziej, że drzemiąc, łatwo można ze stoku płaszczyzny spaść w przepaść. Ni ognika zapalić, ni papierosa, tylko czuwać.

— Wiecie — odzywa się Halitef — zaraz spanie wam przygotuję.

— Jakie?

— Ot tak!

Okraczył drzewo rękami, przypiął się do pnia starego buka. Za jego przykładem poszli i inni. Na tornistrach posiadali, przypięci do drzewa. jakby się z niem zrośli. Przynajmniej bezpiecznie podrzemać można.

Stare bukowe drzewa szumią, kołysane wichrem, jak gdyby dziwiły się, co za niebywały gość w królestwo ich wstąpił. Czasem poruszy się coś w krzakach, czujny żołnierz natęża słuch.

To mieszkaniec lasu, zwierz, poruszył krzakami, zwęszył niebezpieczeństwo i chyżo umknął w dolinę.

Kołyszą się drzewa... szumią...

Z szumem mieszają się dalekie echa walki, gniewny huk armatnich paszcz, żołnierz mimo woli za karabin chwyta. Liczą niektórzy pociski, wiele ich naraz padło, liczą w jakich odstępach czasu. Czasem ucichnie kanonada, aby za chwilę głośniejszem echem zagrzmieć. Niekiedy zdaje się, że tylko kilkanaście metrów oddalona jest artylerya rosyjska i lada chwila odkrywszy nas, pocznie pluć w las żelazem.

— Obywatelu! — odzywa się Halitef Jan.

— Co jest?

— To ci Mędrzykowski wianki puszcza... Rakiety będziemy zaraz widzieć!

— Uważaj, żeby cię taki wianek nie poczęstował.

— A niechta! Co mi ta o to? Jeden mniej, jeden więcej!

Trzech braci służyło w pierwszym plutonie, najmłodszy z nich był Jan, piętnaście lat miał, ale chłopisko, jak smok, silne, rozrośnięte. Dzielni to byli żołnierze, energiczni, sprężyści, polegać można było na nich najzupełniej. Dla nich nie było nic, coby się zrobić nie dało. Pchali się wszyscy do najcięższej służby, rywalizowali między sobą. Ta ciągła rywalizacya poróżniła ich między sobą.

Tak i teraz, leżąc obok siebie, jeden drugiemu szeptem śle docinki. Dosłyszał to kompanijny, Dziekanowski, zjeździł ich porządnie, tak, że umilkli, jak trusie.

— Bez drwinek, zgoda ma być! Braterstwo ma być! Bracia, czy nie bracia, kochać i szanować się trzeba! Polskimi jesteście żołnierzami — burczał gniewnie nad nimi.

(Dokończenie nastąpi)

„Oleandry“ w płomieniach.

(Do illustracyi tytułowej).

Pozostały po wystawie architektonicznej park z kompleksem budynków stylowych, pomimo krótkiego swego istnienia, stał się jednym z popularniejszych miejsc w Krakowie i ma już swą kartę w historyi. Zamieniony na park zabawowy, zwany „Oleandrami“, z chwilą wybuchu wojny stał się siedzibą Legionów. Tam mieściły się koszary wojsk polskich i stamtąd wyruszały pierwsze szeregi żołnierzy polskich na plac boju. To też zrozumiałe wrażenie wywarła w całem mieście wiadomość, że tak dobrze zapisane w pamięci Krakowian „Oleandry“ padły ofiarą pożaru, który zniszczył prawie doszczętnie cały frontowy budynek wraz z westibulem. Po wymarszu Legionistów z Krakowa mieściły się tam ostatnio krowy, należące do gminy m. Krakowa, i znaczna ich część padła także ofiarą ognia.

Straż zastała już morze ognia. Lewy pawilon stał cały w ogniu; na prawy przerzucały się już płomienie. Konstrukcya drewniana budynków wystawy, obrzucona tylko wapnem, płonęła łatwo.

Z lewego frontowego pawilonu rozlegały się rozdzierające ryki zamkniętego tam, duszącego się w ogniu i przypiekanego żywcem bydła. O ratunku tych krów jednak nie było co myśleć; cały ten pawilon stał już w ogniu i nie było do niego dostępu.

Przystąpiono więc czemprędzej do wyprowadzania krów z zaczynającego się już palić prawego pawilonu, które też wszystkie w liczbie 23 wyprowadzono, oraz zizolowania pawilonu teatralnego, gdzie również znajdowała się znaczna ilość krów.

Pożar rozpoczął się, według zgodnych zeznań świadków, w lewym pawilonie. Tam w kącie, tuż przy wejściu, jeden z pełniących przy oborze służbę weteranów 63 roku, 78 letni staruszek Antoni Zglinicki, wstawszy rano i przygotowując wszystko do podoju i karmienia krów, zaczął rozgrzewać rurę wodociągową, w której woda zamarzła, za pomocą zapalonej słomy. Ogień ze słomy przerzucił się na podściółkę, dalej na znaczne zapasy siana i słomy do paszy, znajdujące się w oborze — objął wkrótce całe zabudowanie; biedny staruszek ledwie sam uszedł z życiem.

Pogorzelisko przedstawiało obraz żałosny. W miejscu dość wdzięcznych i wesoło wyglądających pawilonów sterczy labirynt zczerniałych, zwęglonych rusztowań. Na podłodze lewego pawilonu leżały dwoma szeregami bezkształtne, opalone do żywego mięsa, cielska zgorzałych krów. Wkoło zniszczenie i ruina, od której dziwnie jasno i wesoło odbija ocalały pawilon teatralny.

Sensacyjny koncert.

W skromnym, wojennym sezonie muzycznym — jeżeli o takim wogóle tego roku można mówić — pojawiła się jak wielka niespodzianka, zapowiedź koncertu, któryby i w normalnych warunkach musiał zwrócić uwagę. Będzie to w najbliższy poniedziałek występ fenomenalnych młodocianych artystów, Zygmunta i Emanuela Feuermanów, skrzypka i wiolonczelisty. Ci dwaj chłopcy wprawiają od lat kilku w zdumienie nawet najzaciętszych wrogów wszelkich niedorosłych artystów. W istocie bowiem ma się tu do czynienia ze zjawiskiem, które inaczej trudno wytłómaczyć, jak tylko wyjątkowym geniuszem muzycznym, jaki błyska raz na dziesiątki lat. Obaj malcy — starszy, Zygmunt liczy lat czternaście, Emanuel dwanaście — grają najpoważniejsze i najcięższe dzieła, nietylko skończenie pod względem technicznym, ale z takim wyrazem artystycznym, z tak głębokim wniknięciem w ducha utworu, że starzy wytrawni muzycy lepiej nie potrafią. Przed kilkoma dniami dopiero grali Feuermannowie w Wiedniu. Po tym koncercie czytaliśmy we „Fremdenblacie“ z 13 marca: „Pytanie, czy skrzypek, czy wiolonczelista jest większym geniuszem (sic!) musi pozostać otwarte. Cieszmy się, że mamy ich takich dwóch“.

Sława fenomenalnych chłopców rozeszła się już szeroko w świecie i zdobyła im wiele zaszczytów. W Wiedniu koncerty Feuermannów odbywają się już stale wobec tłumów słuchaczy. Kraków, w tym roku tak zgłodniały muzyki, skorzysta też niewątpliwie z niespodzianej okazyi usłyszenia koncertu w „wielkim stylu“.



Sensacyjny koncert: Bracia Zygmunt i Emanuel Feuermannowie.



Z teatru wojny: Pozycye wojsk austro-węgierskich nad Sanem.

Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek, kończąc poprzednią kronikę, obiecywałem solennie, iż urządzę wywiad aktualny z dryndą, która jeździła mi właśnie po głowie, skończyło się przecież na niczem, a to z dwu powodów.

Po pierwsze, pan metrampaż, który jest bardziej nieubłaganym, niż najsurowszy cenzor, oświadczył, że miejsca już brak, a wyrok ten, tak w czasie pokojowym, tembardziej zaś w wojennym, jest nieodwołalny, po drugie zaś, choćby nawet ostatecznie i miejsce się znalazło, drynda-jubilatka nie chciała nic gadać, automedon zaś, wziąwszy w garść szóstki, popatrzył najpierw na nie, potem na mnie i rzekł krótko, a dobitnie:

— Za mało!

Ten styl tacytowski podziałał na mnie, aczkolwiek lubię lapidarność, zwłaszcza, o ile rozmawiam z kobietami, odparłem więc również krótko, a wężłowato:

— A taksa?

Nie podobało mu się widocznie moje odezwanie, z grymasem niezadowolenia zwrócił mi moje niklówki i dodał:

— To jedź se pon taksą, a nie dryndą! Kto nie mo hopów, niech łazi na piechty...

Zaciął kobyłę, również jubilatkę, ze zerwanemi nogami, niczem stara baletnica i odjechał, a ja zostałem na miejscu, jak owa góra, od której odszedł Mahomet. Przysłowie mówi wprawdzie, że on przyszedł do góry, skoro jednak tam się znalazł, musiał zrobić i odwrót, bo chyba do dziś dnia tam nie siedzi.

Pomyślałem sobie przecież, że dorożkarz ma racyę i poszedłem piechotą na zwykłą konferencyę przy bombce pilznera za dwadzieścia centów. Trzeba bowiem wiedzieć, iż jako posłuszny małżonek postępuję ściśle według wskazówek mej lepszej połowy, a ona codzień nawołuje mnie kilka razy do oszczędności. Obliczyłem zaś, że wobec podrożenia piwa na wielkiej i małej szklance jednomiernie o dwa halerze, pijąc bombami, dopłacam do litra tylko dwa centy, małemi natomiast aż trzy. Przy końcu miesiąca obliczę, ile w ten sposób udało mi się zaoszczędzić i kwotę tę przeznaczę ewentualnie na jakiś cel dobroczynny, n. p. na wsparcie dla tych dobrodziejek, które, wobec nie urządzania w tym roku loteryi fantowych na cele dobroczynne, nie mogą w łatwy sposób zaopatrzyć się w prowianty świętalne.

Rozmawiamy zaś, jak się każdy chyba domyśla, o wojnie, a na porządku dziennym są łodzie podwodne. Można powiedzieć bez przesady, że dziś każdy polityk i strategik ma w głowie co najmniej jedną łódź podwodną z załogą i torpedami, opowiadano mi nawet niedawno, iż jednemu z nich śniło się, że cierpiał na morską chorobę, tak się przejął opowiadaniami o bitwach na morzu, a rano obudził się zupełnie mokry... naturalnie z przestrachu.

Bo też te obecne wojny niczem nie są podobne do swych poprzedniczek, tem się zaś różnią głównie od nich, że teraz na placu boju, czy on jest na lądzie, morzu, czy w powietrzu, nic nie widać. Flota pływa pod powierzchnią wody, niby śledzie, armia lądowa zakopała się w ziemię, naśladując krety, lotników nie widać także, gdyż szybują w przestworzach, jak orły. Słowem, gdyby tak na przykład wstał z grobu ś. p. Andrzej Kmicic i, zobaczywszy grubą Bertę, porównał ją z ową kolubryną szwedzką, którą pod Częstochową rozsadził workiem prochu, mówiąc: „Naści piesku kiełbaskę!“, musiałby przyznać, że tej tak łatwo nie dałby rady!... Dziś nie pomogłyby nawet fortele imć. pana Onufrego Zagłoby, który wogóle byłby niezadowolony, nie mając pod ręką dla zwilżenia gardła smacznego miodku, jeno zwykłą wodę! A choć w owym czasie nikomu się jeszcze o hygienicznych zarządzeniach flzykatu nawet nie śniło, mądry chłop, wiedział, że wody pić się nie powinno, bo można się nabawić jakiegoś paskudnego choróbska.

Jest więc o czem mówić, a trzeba się spieszyć, gdyż o godzinie dziesiątej, a najpóźniej jedenastej wieczorem, z rozporządzenia komendy kawiarnie i restauracye muszą zamykać swe gościnne podwoje.

Na przemian, jeśli już braknie materyału wojennego, mówi się o nowej ewakuacyi i aprowizacyi. Jest to temat, choć bardzo niewdzięczny, przecież niewyczerpany!

Jedna ze znajomych pań, która, pomimo swej pokaźnej tuszy i poważnej liczby lat, od rana do wieczora obchodzi w kamienicy wszystkie piętra i lokatorów, przenosząc z miejsca na miejsce różne sensacyjne wiadomości (tak zwana poczta pantoflowa), konferując ze mną onegdaj na schodach w tej sprawie, zauważyła całkiem słusznie:

— Oho! Ja się stąd nie ruszę, choćby się tam nie wiem kto postawił nawet na głowie!... Ja nie potrafiłabym wyżyć bez Krakowa. Gdyby mnie tak umieszczono w jakich barakach, panie, jabym nawet i za miesiąc nie obeszła wszystkich lokatorów, a muszę sobie przecież z każdym chwilkę pogadać i dowiedzieć się, co nowego. Tu, w Krakowie, to zupełnie co innego. Codzień odwiedzam wszystkich znajomych w kamienicy. Ci mi powiedzą to, tamci owo, resztę dopowie służąca, tam zaś byłby człowiek, jak ta tabaka w rogu!

Swoją drogą, trzeba przyznać, iż o tej nowej ewakuacyi tyle gadano i takich potworności, że na człowieku aż skóra cierpnie, skąd wziąć tyle monety i zapasów, by powiedziano:

— Możesz siedzieć, bo masz dość!

Najbardziej zirytowały się teściowe, dowiedziawszy się, że nie liczą się w myśl rozporządzenia do najbliższej rodziny. „Siostrzana pomoc“, towarzystwo ich, założone niedawno celem obrony wspólnych interesów (jestem jego członkiem honorowym, muszę się pochwalić), radziło nad tą sprawą przed kilku dniami i powzięło jednomyślnie następujące wnioski:

1) Zauważa się, że autorem rozporządzenia musi być albo stary kawaler, albo, co gorsza, człowiek żonaty, ale nie uznający należycie powagi władzy domowej, która od Boga jest postanowioną.

2) Teściowe oświadczają, iż praw swych bronić będą rękami, nogami i wszystkiemi innemi częściami swego ciała i dopóty nie spoczną, dopóki nie wywalczą sobie należytego uznania i miejsca, jakie im się z wieku i urzędu należy w rodzinie.

Co się mnie tyczy, nie radziłbym nikomu z niemi zaczynać, bo się to może źle skończyć. Ja się boję walczyć z jedną, a cóż dopiero z całą organizacyą! Tutaj nawet Herkules nie da rady!

Ze względu na spokój w fortecy wskazanem jest przecież jak najrychlejsze wyewakuowanie ich poza granice miasta.

A jest i trzeci punkt porządku dziennego tych obrad, mianowicie kłopoty i zmartwienia, jakie niejednego, a może nawet i każdego z nas, czekają *ex re* zbliżających się świąt Wielkiejnocy.

Na swej własnej skórze już tego doświadczyłem. Przed kilku dniami przychodzę do pewnego znajomego domu, gdzie bywam dość często i zastaję samą panią.

Skoro mnie spostrzegła, z radości zaświeciły się jej oczy, jak kotowi do sperki, i zawołała:

— Ach! Jak to dobrze, że pan przyszedł, bo mojego męża niema w domu!...

W pierwszej chwili zgłupiałem, zaczęli mi się kręcić po głowie Józef wraz z Putyfarą, potem przed oczyma przesunęło się groźne widmo mej kochanej żoneczki z trzepaczką w ręku, połechtany jednak mile w swej własnej miłości, starałem się zrobić minę jak najprzyjemniejszą.

A ona mówiła jeszcze raz:

— Ach! Jak to dobrze!...

Zbliżyłem się ku niej, ująłem ją za rękę, złożyłem na niej gorący, a długi pocałunek i, wpatrując się w nią, jak w tęczę, cieszyłem się w duchu, że człowiek widocznie nie jest jeszcze takim ostatnim niedołęgą, jak to stale utrzymuje moja żona.

— Więc pani się naprawdę cieszy, widząc mnie tutaj? — zapytałem czule.

— Naturalnie! — odparła z pospiechem, przeszywając mnie wzrokiem, jak strzałą... — Wie pan, męża niema, musi go pan zastąpić...

— O pani! — przerwałem. — O ile tylko będzie to w mej mocy! Postaram się jednak, by pani była ze mnie zupełnie zadowoloną...

— Jaki pan poczciwy! Ja powiadam, że niema to, jak prawdziwy, a wypróbowany przyjaciel domu...

— Boję się przecież, by małżonek...

— E!... Co tam małżonek! On panu osobiście podziękuje.

— Osobiście?!.. Wolałbym, nie! Bo ja, przyznam się, nie dziękowałbym za coś podobnego...

— Jak to pan rozumie?

— Jak?... A pani dobrodziejka jak?

— Ja, widzi pan, chciałam pana prosić, aby pan był tak grzeczny i pomógł Kasi zdjąć firanki, bo trzeba je dać do prania przed świętami. Męża mego niema, sama boję się wyłazić na stół, aby nie spaść, bo cierpię zawroty głowy, dziewce nie pozwolę tego także zrobić, gdyż niezgrabna. Podarłaby mi firanki, a dopiero tamtego roku kupione!... Spadł pan więc, jak z nieba!

Teraz, to już zbaraniałem kompletnie, zrobiłem, co mi kazano, dałem sobie jednak słowo, że w okresie porządków przedświątecznych nie odwiedzę żadnego znajomego domu, chyba, że przekonam się, iż, albo mąż jest, albo firanki dane już do prania. I ja cierpię także na zawroty głowy, dlatego nie jeżdżę do Zakopanego, nie mam więc ochoty spinać się po stołach i krzesłach...

U siebie w domu nawet tego nie robię, wolę dać stróżowi szóstkę, by mnie zastąpił w tej ważnej czynności familijnej.

Niejedną przecież nieprzespaną noc mają ojcowie rodzin do zawdzięczenia tym świętom, nic też dziwnego, że wspominają o nich bardzo często.

— Skąd tu wziąć? — to pytanie powtarza się często, odpowiada na nie jednak tylko echo. Wszyscy są bezradni.

Co najwyżej ktoś poważnie zauważy:

— Z próżnego i Salomon nie naleje!

— Daj się wypchać ze swą filozofią! — słyszy na to taką replikę.

Gada się więc, jeśli nie o wojnie, to o ewakuacyi. Jeśli zaś nie o nich obu, to o zbliżających się świętach, rzadko tylko monotonię tę przerwie jakieś ważniejsze zdarzenie, n. p. kupienie sobie nowego kapelusza przez któregoś ze znajomych. W te ciężkie czasy na podobny zbytek może sobie pozwolić tylko człowiek, który ma pieniędzy, jak lodu.

Gdy się pokazał w nowym „dętku“ i do tego Skórczewskiego firmy, stał się od razu przedmiotem gorących owacyi.

— Panowie! — bronił się. — Dajcie mi spokój! Nie zasłużyłem na to!... Nie kupowałem długi czas kapelusza, ale miałem powód do tego! Moja żona oburzona była na mnie, że chodzę w takiem starem pudle i zapowiedziała, iż, dopóki nowego sobie nie kupię, nie wyjdzie na spacer, bo wstyd ją publicznie się ze mną pokazywać!... Ja się tam o to nie gniewałem wcale i nie kupowałem, wreszcie sprzykrzyło się starej i sama mi zafundowała taki dęty instrument na głowę!

— Toś pan podwójnie szczęśliwy! — zawołaliśmy chórem. — Wobec tego wypada oblać nowy kapelusz, by się lepiej nosił.

— Już oblany! — bronił się jeszcze. — Ja chodzę z zasady bez parasola, a dziś właśnie deszcz. Skoro jednak chcecie... Panie Janie!... tyle bombek, ilu nas jest! Ale dla mnie proszę zagrzaną!...

W ten sposób urozmaicamy sobie monotonię życia, krzepimy się wzajemnie na duchu i zagrzewamy do szlachetnych czynów, do których, nikt nie wie, jak i kiedy może być powołanym! Taka tu jednozgodność, że niech ktoś powie, ot tak, ze żartu: „A możeby tak teraz po kieliszku karpatowej?... To dobrze zrobi przed obiadem!“ — nie znajdzie się ani jeden głos, któryby zaoponował.

Co najwyżej, powie ktoś:

— Dla mnie, Władziu, zamiast karpatowej, żytniówkę!... Tę z Brzezia!

Gdyby nasi dziadowie i ojcowie byli sobie brali z nas przykład, nie bylibyśmy dziś w tak opłakanem, jak jesteśmy, położeniu, każdy bowiem musi przyznać, że właśnie niezgoda nas zgubiła.

Cała jednak nadzieja, że już niedługo, bo mniej więcej za sto lat zmienią się obecne stosunki, naturalnie na lepsze.

Jak bowiem zapewnia papa Edison w wywiadzie z jakimś amerykańskim dziennikarzem, nazwiskiem A. F. Berson (może to wynalazca obcasów gumowych?... przyp. zecera), jest już na drodze do wynalezienia recepty, jak robić sztuczne złoto. Dziesięć cetnarów metrycznych ma kosztować tylko sto dwadzieścia pięć koron.

Pozatem ludzie będą latać w powietrzu z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i bez obawy wywrócenia koziołka, co, jak wiadomo, jest mniej przyjemnem, nikiel zastąpi papier i drzewo, a maszyny tak się ulepszy, iż wystarczy z jednej strony rzucić do otworu żywą świnię, z drugiej, po zakręceniu korbą i naciśnięciu odpowiedniego guzika, wylecą gorące kiełbaski z chrzanem, kiszka z kapustą, wędzonka z grochem i tym podobne delikatesy.

Co zaś najważniejsze, wobec coraz to doskonalszych wynalazków technicznych, wojna stanie się niemożliwą, nastanie więc wieczny pokój, nie będzie także ubogich, a każdy dziad dzisiejszy będzie w stanie płacić za wszystko złotem i to własnego wyrobu!...

Zagadki do nagrody.

Równania.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu pseudonim polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{4}+\frac{d}{3}=x$$

$$\frac{e}{2}+\frac{f}{3}+\frac{g}{3}+\frac{h}{4}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Dzień w tygodniu. b) Rak morski. c) Płyn upajający. d) Tytuł e) Ptak śpiewający. f) Kwiat. g) Okres czasu, obchodzony uroczyście. h) Rodzaj poezyi.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kąpiele, Janek, mogiła.

Logogryf.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę miejscowości w Galicyi, pamiętnej stoczoną tam niedawno krwawą bitwą.

a	a	a	a	a
a	a	a	a	a
a	b	c	c	e
h	i	k	k	k
l	l	l	l	m
m	n	n	o	o
r	p	p	s	s
s	w	w	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Część ciała 2. Płyn. 3. Sprzęt domowy. 4 Część domu. 5. Przyjemność zimowa 6. Naczynie. 7. Ptak. 8. Panujący.

Przysłowiówka.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały trzy znane przysłowia:

1) I e o o y i ę ą.

2) A i e o ą ó a e ą.

3) A e u a i e e i e.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Szarpie, tren, kij, goj, pozew, garnek, ter.

Łamigłówka.

Ułożył A. Adamczyk, Kraków.

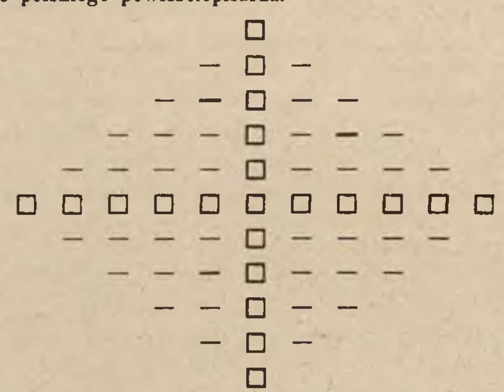
Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie, tyczące się obecnej wojny europejskiej.

Le —
ag —
ni —
re —
az —
st —
le —
mi —
fe —
ni —
ob —
gr —
mi —
mó —

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nam pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego powieściopisarza.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Tytuł turecki. 3. Najpospolitsza roślina 4. Imię żeńskie. 5. Inaczej poręka. 6. Szukany wyraz. 7. Instrument muzyczny. 8 Rzemieślnik. 9. Drzewo owocowe. 10. Wykrzyknik. 11. Spółgłoska.

Depesza.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z liter depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Ela! Lech był ośm dni u M.

N. G.

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

ANATOL KAZEK FRYC DYB.

IZAK R. SZNUR.

MARCIN MARYAN Ito DITESKI.

MAREK ST. BISUNIR.

MARYAN FAKT BŁYD.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *St. Ostrowskiego:* **Rok klęski.** Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Depesza: Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą.

Przekładanka: Herold, Indygo, Nantes, Daniel, Eunuch, Narses, Bocian, Ujście, Romans, Grabie

Przysłowiówka: Goły rozboju się nie boi.

Logogryf: Srom, Elba, Wist, Eryk, Róża

Szarada: Nagrody.

Zadanie do przestawienia: Cnota sławą się płaci

Zadanie do przestawienia: Co kraj, to obyczaj

Logogryf: M, Oka, zboże, Granica, Klonowicz, M Konopnicka, Kopenhaga, Nowicki, Jacek, Oko, a

Kwadrat magiczny: Rojan, Osada, Janek, Adela, Nakaz

Bilety wizytowe: Introligator. Mosiężnik. Księgarz. Kupiec. Aptekarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow. J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Praga, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, S. Rogalski Cieszyn, J Wilkosz Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Leszczyński, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

WP. R. Królicki, Krościenko n. D Rozwiązanie zagadek z Nru 8 nadeszło spóźnione o dziesięć dni, wobec tego nazwisko Pańskie nie mogło się znaleźć na liście ubiegających się o nagrodę.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. T. Czytelników, nadsyłających nam łaskawie zagadki, szarady i t. p. zawiadamiamy, iż za takowe nigdy żadnego honoraryum autorskiego nie płacimy.

Głosy publiczne.

Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w Cieszynie wskutek bardzo licznych zapytań wyjaśnia niniejszem, że w wysyłaniu korespondencyi przez Rumunię do państw wojujących pośredniczy za pomocą długoletniego i wypróbowanego przyjaciela Macierzy, nie może jednak brać na siebie żadnej odpowiedzialności za poczty, w których funkcyonowaniu, w czasie wojennym, oczywiście częste zachodzić muszą i zachodzą trudności i zmiany Obecnie komunikacya z Galicyą wschodnią jest chwilowo przerwana, jak o tem świadczy zwracanie listów, wysyłanych zarówno przez Rumunię, jak i przez Danię.

Z powodów wprost ogromnej ilości zamówień na pocztówki rumuńskie, przekraczającej wszelkie przewidywania, tylko część zamówień można było dotąd wykonać i to z opóźnieniem, z powodu wymienionych wyżej trudności komunikacyjnych, za które obecnie także i poczty i koleje, nawet zagraniczne, również żadnej nie przyjmują odpowiedzialności. Ze względu na niepewność położenia w państwach neutralnych i coraz nowe obostrzenia poczt rosyjskich, nie podobna się narażać na koszta sprowadzania takiej ilości pocztówek rumuńskich, aby je mieć zawsze w dostatecznej ilości na składzie. Zarząd musi zatem upraszać wszystkich zgłaszających się o cierpliwość, ktorej obecne stosunki koniecznie wymagają. Nadmieniamy przytem, że osoby, którym zwrócono listy, ale bez kopert z ofrankowaniem rumuńskiem, nie ponoszą żadnej innej opłaty dodatkowej, prócz zwrotu 20 hal. za dostarczone im pocztówki rumuńskie, jak o tem w poprzednim komunikacie była mowa.

O miejscu pobytu nadawcy na pocztówkach rumuńskich nie powinno się pisać. Do jeńców i zakładników można pisać za zwykłą opłatą, ale o ile znane jest miejsce ich pobytu. Pisać można tylko do tych części krajów poza terenem wojennym, w których przypuszczalnie urzędują władze cywilne i poczty państw wojujących, gdyż wszelkie próby korespondencyi do terenów blizkich placu boju są z góry wykluczone.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska · Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.